Cena egzemplarza 20 groszy.

PRZEWODNIK KATOLICKI

Redaktor:
X. JÓZEF KŁOS w Poznaniu.
Telefon Redakcji: 2678.
Adres dla spraw dotyczących rękopisów i treści pisma: REDAKCJA
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.

Pismo ilustrowane dla Rodzin katolickich
z dodatkami:
„NASZA PRZYSZŁOŚĆ", „GOSPODARSTWO"
i „MOJA BIBLJOTEKA"

Adres dla spraw dotyczących przedpłaty ekspedycji itd.:
ADMINISTRACJA
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22
Tel. Administracji: 3613 i 2678.
Warunki przedpłaty patrz ostatnią stronę w dole.

Nr. 7. Poznań, dnia 13 lutego 1927 roku. Rok XXXIII.

X. KARDYNAŁ NUNCJUSZ LAURI



Cz 3635/1827/7

WIERZĘ!..

Gdy w strasznej ducha codziennej rozterce
Brzemienne bólem upada me serce,
Gdy wszelkie świtu zgasły już nadzieje:
Przede mną burza — a wyżej zawieje,
Kiedy z radością zerwałem przymierze:
Wierzę!

Wierzę, gdy z hukiem toczą się głębiny
I krtań ściśnięta swą obrożą targa —
Niech się ożywcze otworzą dziedziny:
Opadnie rosa — nią skrzepi się warga
I nowe życie wgórę pęd obierze:
Wierzę!

Wierzę, że modły, co giną bez jęku:
Nim w niebo wzlecą — brzemienne opadną
Skargą — piorunów pełne będą dźwięku
I już raz lecąc — nie stłoczą się na dno,
Ale mocarne w serc będą ofierze:
Wierzę!

Wierzę, że duch mój, co z boleści klęka
W bezdna pokorze — w proch uderza głową —
Wstanie! Probierzem dlań stanie się męka,
A potem moc z niej weźmie piorunową,
By innych wznosić w doskonałeń sferze:
Wierzę!...

Zygmunt Hoffmann.

Ewangelja na niedzielę Starozapustną

zapisana u św. Mateusza rozdz. 20, w. 1—16.

Rzekł czas: Mówił Jezus uczniom swoim tę przypowieść: Z królestwem niebieskiem rzecz ma się podobnie, jak z pewnym gospodarzem, który wczesnym rankiem wyszedł nająć robotników do winnicy swej. Zgodziwszy zaś robotników po denarze na dzień, posłał ich do winnicy swojej. A gdy wyszedł około godziny trzeciej, ujrzał innych, którzy stali na rynku bezczynnie. Im także powiedział: Idźcie i wy do winnicy mojej, a co będzie słuszna, dam wam. A oni poszli. — I znów wyszedł około szóstej i dziewiątej godziny, i podobnie postąpił. A gdy około godziny jedenastej wyszedł, i znalazł innych stojących, rzekł do nich: Dlaczego tu stoicie dzień cały bezczynnie? Powiadają mu: Nikt nas nie najął. Mówi do nich: Idźcie i wy do winnicy mojej. — Gdy zaś wieczór zapadł, rzekł pan winnicy do swego rządcy: Zwołaj robotników i oddaj im zapłatę, zaczynając od ostatnich aż do pierwszych. Przystąpili zatem ci, którzy przybyli o godzinie jedenastej, i otrzymali po denarze. A gdy nadeszli i pierwsi, sądzili, że więcej dostaną; ale i oni otrzymali po denarze. Odebrawszy zaś, szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: Ci ostatni jedną godzinę pracowali, a zrównałeś ich z nami, którzyśmy znosili ciężar dnia i spiekotę. Ale on odezwał się do jednego z nich i rzekł: Przyjacielu, krzywdy ci nie wyrządzam; — czyż nie zgodziłeś się ze mną za denara? Zabierz, co twoje, a idź; chcę też i temu ostatniemu dać, jako i tobie. Alboż nie wolno mi uczynić tego, co chcę? Czyż krzywo patrzysz, żem ja dobry? Tak to ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi; albowiem wielu jest wezwanych, ale mało wybranych.

Nauka.

Pomiędzy chwastami, które zachwaściły po wojnie duszę polską, jest jedno zielsko, gorzkie jak piołun, trujące jak szalej, trudne do wypienienia jak perz, a rozpowszechnione wszędzie: to zazdrość! Na czem ona polega, wyjaśnia znakomicie dzisiejsza ewangelja św,

Robotnicy, którzy pracowali od rana, dostają umówioną zapłatę. Gdyby nie widzieli, że ci, co przyszli później, otrzymali także po denarze, byliby zadowoleni. Lecz to ich boli, że inni biorą tę samą zapłatę. Dlatego „krzywo patrzą", że inni mają się dobrze! Oto, w czem tkwi korzeń zazdrości! Brzydka to przywara: gdyż z każdego innego grzechu mamy choć chwilową tylko korzyść, albo przyjemność, zawiść serce napawa goryczą i zatruwa życie nawet takiemu, któryby mógł żyć szczęśliwie, gdyż Bóg mu użycza wszystkiego, czego do szczęścia potrzeba.

O! jak biednym jest zazdrośnik. Żebrak, jeżeli zadowolony jest z losu swego, szczęśliwszym jest od niego, bo „ten jest pan zdaniem mojem, który umie poprzestać na swojem!"

Ile szkody wyrządza zazdrość ludziom niewinnym! Z zazdrości wynikają obmowy, oszczerstwa, morderstwa. Czyż pierwszy morderca i bratobójca, Kain, nie staje tu nam przed oczami?

A w dziejach Ojczyzny naszej, tak chlubnych poza tem i wspaniałych, czy brak przykładów, ile złego wyrządza całemu narodowi zazdrość?

Wiele bitew zakończyło się klęską; innych wygranych nie można było należycie wyzyskać; rozmaitych znakomitych, dla dobra kraju koniecznych przedsiębiorstw i ustaw nie można w Polsce w czyn wprowadzić, bo nie pozwoliła na to i nie pozwala zazdrość! „Jeżeli ja nie mam zyskać tej sławy, tych korzyści, tych pieniędzy, tych morgów", — taki jest dziś prawie ogólny sposób myślenia, — „nie pozwolę, żeby je miał pozyskać ktoś inny!" Czy to słusznie? Biskup Krasicki powiada: „Wszyscy sobie zazdrościm, a to jest największym dowodem, iż nie mamy sobie czego zazdrościć".

Jak gdyby nas Polaków miał przed sobą, pisze św. Paweł w liście do Galatów: „Albowiem wy wezwani jesteście ku wolności, bracia; tylko żebyście wolności nie obracali na pobudkę ciału, ale przez miłość ducha służcie jeden drugiemu. Bo wszystek zakon w jednej się mowie wypełnia: będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego. — Lecz jeśli jeden drugiego kąsacie i jecie, patrzcie, aby jeden drugiego nie zjadł". (V, 13—15).

Na drugiej półkuli

Wspomnienia i wrażenia z podróży na kongres eucharystyczny w Chicago

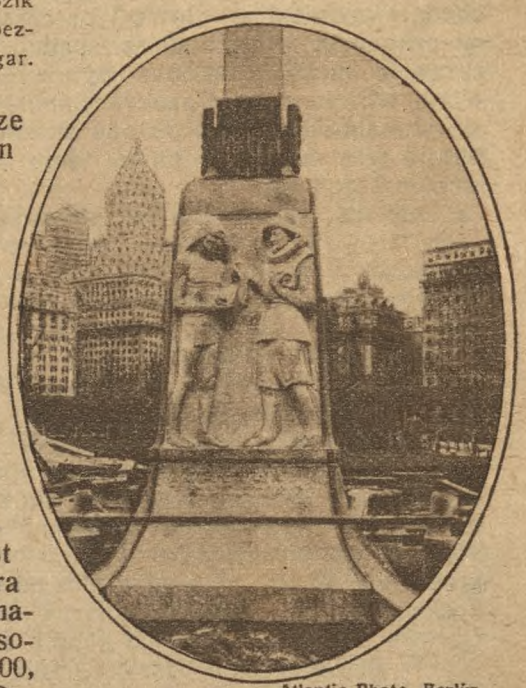
XIX.

Miasto-olbrzym. — Nie posiada historji ani sztuki. — Ludność. — Do czego nogi. — Bzik tańca. — Wśród drapaczy chmur. — Pomnik holenderski. — Dzielnice uboższe. — Ulice bezimienne. — Ruch uliczny. — Dom Polski. — Central Station. — Największy na świecie zegar. Drugi objazd!

Opowiadając o zwiedzaniu Nowego Jorku, nie mam ani na chwilę zamiaru dawać jakiego dokładnego opisu tego miasta-potwora. Najpierw, że to miasto olbrzymie składa się z pięciu wielkich dzielnic i liczy blisko dziewięć miljonów mieszkańców; a więc dla dokładnego opisu należałoby i dużo czasu poświęcić na zwiedzenie i dużo oddać miejsca na pomieszczenie go w „Przewodniku". Przejechanie się przez miasto, choćby kilkakrotne, samochodem, nie może dać należytego pojęcia o tej gigantycznej stolicy Stanów Zjednoczonych. Po drugie, miasta amerykańskie zaś wszystkie to twory nowe, historji nie mają. Okazy sztuk pięknych, jak malarstwo i rzeźby znajdziecie tu wprawdzie w dość wielkiej liczbie, zakupione przeważnie za drogie dolary w zubożałej Europie. Łaszczyli się zubożali ludzie europejscy na amerykańskie złoto i oddawali za nie bezcenne nieraz skarby. Ale kto widział zbiory obrazów, czy rzeźb, czy innych przedmiotów sztuki w Luwrze paryskim, w muzeach florenckich lub w Rzymie, ten już nie będzie się łatwo palił do szukania ich w Ameryce. Ogląda się tutaj raczej przeważnie olbrzymie gmachy, potężne budowle, niebosiężne drapacze chmur, zdumiewające zakłady przemysłowe, śmiało i zuchwale rzucane przez rzeki i morza mosty. Obejrzawszy zaś jako tako dokładnie jedno miasto, masz już obrazek, jak mniej więcej wyglądają wszystkie inne.

Ciekawszą jest rzeczą przyjrzeć się w miastach amerykańskich raczej ludziom. Są bowiem one prawie bez wyjątku, zwłaszcza zaś większe, jak Nowy Jork, Chicago, Detroit, Cleveland i inne, zbiorowiskami ludzi ze wszystkich stron Bożego świata.

Weźmy taki Nowy Jork. Na dziewięć miljonów ludności jedna trzecia, a więc trzy miljony, to przychodźcy z Europy. Najwięcej w Nowym Jorku mieszka przedstawicieli starozakonnego Izraela; jest ich około półtora miljona. Z innych narodowości liczą sobie Włosi 322 000, Niemcy 258 000, Polacy, także mniejwięcej tyle. Rodowitych Amerykanów doliczysz się zaledwie 350 000. Reszta to przybyli z całego świata Anglicy i Ajrysze czyli Irlandczycy. Poza tem znajdziesz w tej stolicy „świata nowego" 150 000 murzynów i 145 000 Chińczyków. Ale każdy inny naród na świecie ma tu sporą liczbę swoich zastępów. Co za śliczna mieszanka!

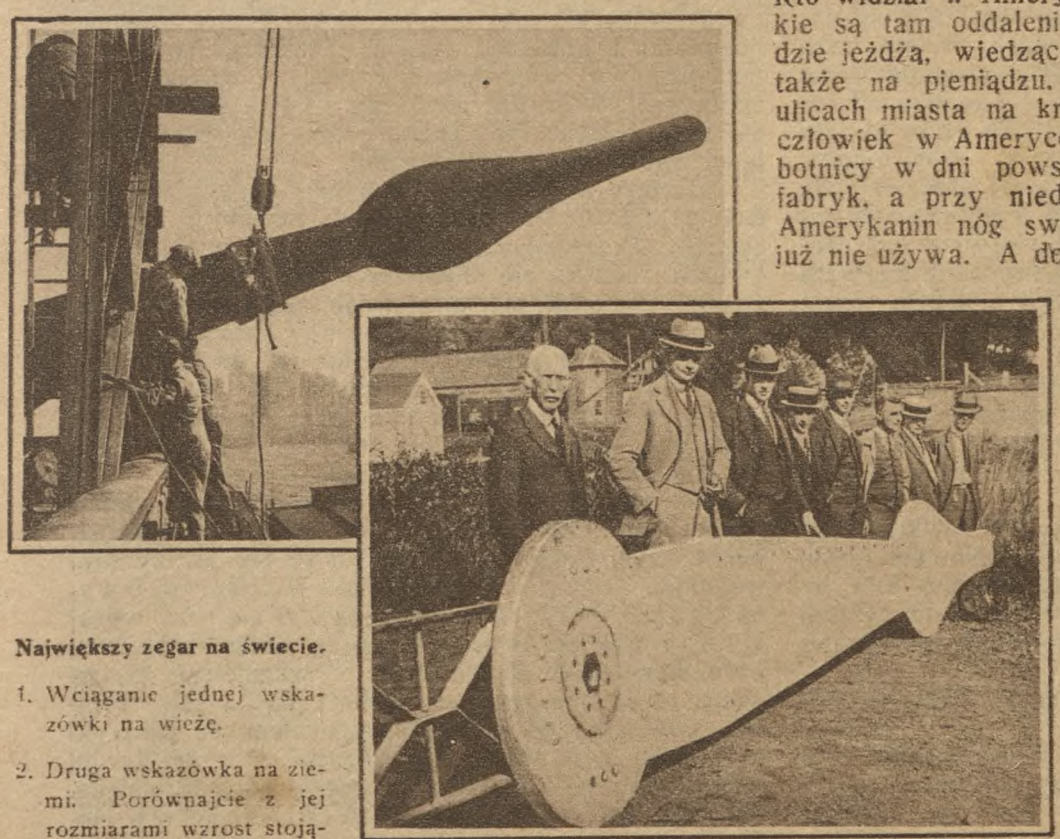


Atlantic-Photo, Berlin.

Pomnik ofiarowany miastu Nowy Jork przez Holandję.

Ruszamy: jedziemy oczywiście samochodem. Kto widział w Ameryce chodzić pieszo? Tak wielkie są tam oddalenia, że dla oszczędzenia czasu ludzie jeżdżą, wiedząc, że zyskując na czasie, zyskują także na pieniądzu. Chodzi się pieszo tylko po ulicach miasta na krótszych dystansach. Co szósty człowiek w Ameryce ma własny samochód. Robotnicy w dni powszednie samochodem jeżdżą do fabryk, a przy niedzieli za miasto na wycieczkę. Amerykanin nóg swoich do chodzenia prawie wcale już nie używa. A do czego? Do sportów, do grania w piłkę nożną lub golfa, do wyścigów, no, i do tańca, bo na punkcie tańca to i w tej trzeźwej Ameryce panuje taki sam bzik jak u nas w Polsce. Wszystko tam tańczy, tańczy przy każdej sposobności. Tańczą rano, tańczą wieczorm, tańczą we dnie, tańczą w nocy — oczywiście o ile na ten czas nie przypada obowiązkowa praca. Widocznie, że to choroba powojenna, która ogarnęła świat cały.

I ja przez kilka tygodni swego amerykańskiego życia zwyczajem amerykańskim wyłącznie prawie jeździłem, i gdybym miał zliczyć pieszą drogę, jaką zrobiłem przez ów miesiąc pobytu na amerykańskiej



Sennecke, Berlin.

Największy zegar na świecie.

1. Wciąganie jednej wskazówki na wieżę.
2. Druga wskazówka na ziemi. Porównajcie z jej rozmiarami wzrost stojących przy niej ludzi!

ziemi, toby tego nie było razem nad jakie dwa lub trzy kilometry.

Z początku jedziemy jak w głębokim wąwozie, po którego bokach wznoszą się wysokie góry. Nieba nie widać nad nami. Dopiero gdy wysiadłem z samochodu i podniosłem głowę i przechyliłem ją tak, że mi prawie z tyłu kapelusz spadał, wtedy ujrzałem skrawek nieba. Jakobyś był w studni! To sprawiają właśnie owe drapacze chmur, owe dźwigające się w niebo kamienice po obu stronach ulicy. Oczywiście w słonecznym nawet dniu jest w tej studni ciemno i ponuro.

Ale tak jest tylko na głównych, wielkich ulicach, w owej części miasta, gdzie są olbrzymie domy handlowe i bankowe. Tu jest właściwa, a stara kolebka Nowego Jorku. Na tem miejscu zaczęli przed 300 laty koloniści holenderscy, którzy wykupili tę wysepke Manhatto (tak się ta dzielnica Nowego Jorku jeszcze dz nazywa), od czerwonoskórych Indjan, budować pierwsze osady, zawiązek dzisiejszego miasta-olbrzyma. Na pamiątkę ofiarowała Holandja właśnie w tym roku miastu dar, który oglądałem: olbrzymi postument do słupa na którym na wysokości 73 metrów zawisnąć ma flaga amerykańska; na postumencie wykuto w kamieniu obraz przedstawiający, jak mądry Holender daje dzikiemu a ciemnemu Indjaninowi sznurek błyskotliwych paciorków szklanych i za nie kupuje całą wyspę!

W dzielnicach uboższych, oddalonych od śródmieścia, zwanego City (mów syty), domy są niższe, ulice ciaśniejsze, bruk gorszy, a przedewszystkiem rozpościera się wszędzie bajeczny brud. Nowy Jork nie jest bynajmniej miastem czystem i schludnem. Jest to podobno właściwością wszystkich miast portowych, że są brudne, niechlujne. W dzielnicach poszczególnych narodowości, a także w dzielnicy polskiej, na ulicach stoją stragany przekupniarskie, powystawiane są kosze z owocami i warzywem, po ziemi tarzają się łupiny pomarańcz i niedogryzione resztki owoców, tak jak u nas na rynku w Swarzędzu, Będzinie lub Rzeszowie.

Suniemy szybko przez szereg ulic. Ale nie pytajcie mnie, jak się nazywają te ulice. W Ameryce są ulice bezimienne. Gdyby według europejskiej metody Amerykanie nadawali ulicom swoim imiona i nazwy, to przy nieskończonej liczbie ulic ktoby się zorjentował w rozkładzie planu miasta. Więc amerykański spryt chwycił się innej metody. Podzielił całe miasto na ulice idące równolegle z północy na południe, i drugie, przecinające owe pierwsze pod prostym kątem, a idące ze wschodu na zachód; pierwsze nazywają się avenue (mów ejwny), a drugie street (mów: strit). Każda z tych ulic ma swój kolejny numer: pierwsza, druga, dziesiąta, czterdziesta i t. d. Nikt tedy nie potrzebuje się wysilać, by zapamiętać sobie nazwę ulicy, przy której mieszka przyjaciel, ani też szukać godzinami z niecierpliwością ulicy o takiej lub innej nazwie: niech tylko idzie i rachuje ulice, a znajdzie tę, której szuka.

Obraz życia i ruchu ulicznego w wielkich miastach amerykańskich zwłaszcza zaś w Nowym Jorku, to istotnie odrębny rozdział, wart pisarza, któryby piórem umiał malować jak malarz pendzlem. Odym poraz pierwszy spostrzegł na ulicy tłum rozpędzony w dzikiej gonitwie, zapytałem:

— Co to? stała się jaka zbrodnia! Takie zbiegowisko!

— Nie, — odpowiedziano mi ze śmiechem, — to zwykły obraz wielkomiejskiej ulicy amerykańskiej.

Tak się tu wszystko spieszy, goni za „businessem", nie chce tracić ani sekundy, bo czas to pieniądz! Nikt nie idzie krokiem, lecz każdy pędzi galopem; nikt się nie bawi w pogawędkę, bo na to nie czas w tej chwili, lecz każdy wytęża myśl, jak wyzyskać najlepiej choćby i minutę dla interesu. Gdyby tam znalazł się jakiś „gogo", któryby szedł ulicą wywijając laseczką, gapiąc się po pięknych buziach, pośpiewując piosneczkę, to tłum porwałby go w swoje fale i musiałby on iść z jego prądem.

Na ulicach amerykańskich — powiedział ktoś dowcipnie, biegną jedni, jakby uciekli z domu warjatów, drudzy, jakby gonili uciekinierów.

To jest zmysł amerykański wyzyskiwania każdej minuty. Jakby się przydało nam Polakom, którzy marnujemy tyle drogiego czasu, nauczmyż się od Amerykanów tej cnoty!

Objechaliśmy kawał miasta. Urozmaicenia niewiele.

— Tutaj — słyszę z ust moich zacnych przewodników, — to dzielnica murzyńska... A tu czeska... węgierska... żydowska...; tu znowu chińska...

— Co mnie to obchodzi, jakie tam mieszkają narodowości, skoro ich siedziby podobne do siebie jak dwie krople wody.

— Pokażcie mi chyba dzielnicę polską!

— Owszem.

Wjeżdżamy do niej. Taka jak wszystkie inne. Tylko że pełno dzieci na ulicy, krzyczących po polsku, a czasem jakąś mieszaniną polskiego i angielskiego. Ale składy i sklepy noszą nazwiska polskie.

Tu w tej dzielnicy polskiej jest także najstarszy polski kościół pod wezwaniem św. Stanisława biskupa i męczennika. Poznaję jego proboszcza, zacnego x. Buranta, który stał na czele komitetu nowojorskiego, przyjmującego gości z kraju, i jego wikarego, x. Leonarda Kaszyńskiego, pochodzącego z Poznańskiego.

Wiozą mnie także do położonego w tej dzielnicy Domu Polskiego, w którym mają siedzibę swoją prawie wszystkie stowarzyszenia polskie, żyjące w Nowym Jorku. Tu spożywamy śniadanie. Jadłospis zawiera dużo „wspomnień ojczystych", bo są na nim i krakowska kiełbasa i warszawskie flaki i zrazy po poznańsku i kluseczki śląskie. Ponieważ to godzina popołudniowa, więc ludzie w pracy i działaczy nie spotykam. W drodze powrotnej z Chicago do Europy zajrzę tu jeszcze raz i zobaczę kilku pracowników na niwie społecznej i patrjotycznej.

Obecnie czas wracać do hotelu. Po drodze zwiedzamy jeszcze olbrzymi dworzec kolejowy, Central Station. Prawdziwy cud sztuki inżynierskiej. Do dworca wjeżdża się ślimacznicą na pięć pięter pod ziemię. Na tych pięciu piętrach podziemnych znajdziesz wspaniałe restauracje, składy kupieckie, gdzie możesz kupić wszystko od guzika aż do brylantów, od zabawki dziecięcej aż do samochodu. Pociągi kolejowe zajeżdżają i wyjeżdżają jakby niewidoczne dla oka, jadą też niewidzialne pod ziemią i wynurzają się dopiero za miastem na światło dzienne.

Wjeżdżając znowu w okolice drapaczy chmur towarzysze nasi wskazują mi drugi cud sztuki budowniczej i inżynierskiej. Jest to tak zwany Metropolitan Tower, wieża miejska. Mniejsza już o wybudowanie wieży, która dosięga 200 metrów wysokości (proszę porównać poznańską wieżę ratuszową, która liczy tylko 65 metrów!) — ważniejsze to, że wieża ta dźwiga zegar największy na świecie. Właśnie krótko przed naszem przybyciem do Ameryki ukończono montowanie tego zegaru, więc przyjezdni oglądają go jako nowość. I jest to nowość nielada. Tarcze zegarowe, umieszczone na czterech bokach wieży, znajdują się na wyżynie stu metrów. Jasną tedy jest

rzeczą, że muszą być ogromne, jeżeli ludzie zdołu mają na nich czytać, która godzina. Miara ich to 8 metrów wzwyż i tyleż wszerz. Cyfry godzinne mają każda 1 metr wysokości. Wskazówka minutowa ma 5 metrów długości a 500 kilo wagi, wskazówka godzinna 4 metry długości i 340 kilo wagi. Poruszają się one elektrycznością, a cały mechanizm zegaru umieszczony jest na 26 piętrze.

Oglądałem później ten zegar wieczorem. Cała tarcza oświetlona przez tysiące lampek elektrycznych, ułożonych wzdłuż cyfr godzinnych, przy przecinkach minutowych i wzdłuż wskazówek. To widok niepospolity. Na szczycie wieży umieszczona latarnia, zaopatrzona w potężny projektor, który zaznacza godziny genjalnym sposobem: kwadransy mianowicie zaznacza olbrzymim promieniem światła czerwonego, a godziny pełne promieniem białym. Wreszcie co kwadrans wygrywa zegar dzwoneczkami wesołe melodje. Warto się przyjrzeć fotografjom, przedstawiającym wskazówki w czasie montowania, aby nabrać pojęcia o rozmiarach tego dzieła sztuki inżynierskiej i zegarmistrzowskiej.

Przed hotelem zastajemy cały szereg samochodów. Do objazdu miasta, który mają odbyć nasi księża biskupi, przyłącza się dużo członków komitetu we własnych „karach" czyli wozach. Świta tedy będzie liczna. Zaczynamy drugi objazd.

X. Józef Kłos.

Jubileusz X. Arcybiskupa Teodorowicza

Dnia 2 lutego upłynęło ćwierć wieku od chwili, gdy w katedrze ormiańskiej we Lwowie x. Arcybiskup Teodorowicz otrzymał sakrę biskupią z rąk kardynała Puzyny.

Imię dostojnego Jubilata znane było całej Polsce już przed wojną. Dzięki pismom i żywej działalności x. Arcybiskup Teodorowicz podbił serca i umysły inteligencji polskiej w całym kraju mimo dzielących naród kordonów. Występował jako świetny mówca na zjazdach marjańskich w kraju i na zjazdach eucharystycznych zagranicą, zabierał głos w izbie panów w Wiedniu i w sejmie galicyjskim. Nie należąc do partji, tem swobodniej mógł przemawiać w doniosłych rozprawach politycznych. Sławna była jego mowa w izbie panów w obronie narodu polskiego, na który rzucali oskarżenie pobici jenerałowie austrjaccy, narodu, z którym przez traktat brzeski 1918 r. Austrja obeszła się tak niegodnie. Ta pamiętna mowa wiedeńska tchnęła wiarą w prawdziwą wolność Polski zjednoczonej. Pracę polityczną x. Arcybiskup prowadził jeszcze w polskim sejmie ustawodawczym.

W piśmiennictwie Dostojny Jubilat obok broszur na chwilę bieżącą ma dorobek w postaci kazań „Na przełomie", rozmyślań „Mnie żyć jest Chrystus" i innych.

Umysł głęboki, żywo interesujący się sprawami społecznemi i politycznemi, działacz o dobro narodowe walczący śmiało, pisarz stylista świetny, kapłan nieskazitelny. X. Arcybiskup Teodorowicz w dniu jubileuszu otrzymał z całej Polski wyrazy hołdu i życzenia dalszej wydatnej pracy w zbożnym celu. Uroczysty obchód jego jubileuszu odbędzie się dopiero w czerwcu.

Biskup ludożerców

Afryka już w 1-szym wieku poznała światło wiary Chrystusowej: św. Mateusz apostoł zapuścił się aż do Etjopji (Abisynji), żeby głosić murzynom Ewangelję i wkrótce Afryka północna, wówczas prowincja rzymska, stała się chrześcijańską, wydając wielkich świętych, jak św. Augustyn, św. Katarzyna z Aleksandrji i inni. Po upadku cesarstwa rzymskiego Arabowie zniszczyli tam chrześcijaństwo i cywilizację i wprowadzili Mahometa na miejsce Chrystusa.

Długo praca misjonarzy na Czarnym Lądzie ograniczała się tylko do wybrzeży, dopiero w drugiej połowie 19-go wieku udało się podróżnikom i sługom Bożym dotrzeć w głąb tajemniczej krainy, gdzie panowało ludożerstwo i handel niewolników.

Jednym z misjonarzy, którzy największe położyli zasługi w sprawie krzewienia wiary i cywilizacji we wnętrzu Afryki, był x. Augonard (wym. Ognar). Urodzony w roku 1852, syn stolarza w Poitiers we Francji, bronił ojczyzny przed Niemcami w roku 1870, a po zawarciu pokoju wstąpił do seminarjum. Dopiero w roku 1877 spełniły się jego marzenia: wysłano go jako misjonarza do Gabonu w Afryce Zachodniej. Z bijącem sercem wysiadł na ten Czarny Ląd, kędy miał spędzić 43 lata życia, pełnego trudów i niebezpieczeństw, lecz bogatego w owoce.

W jakich warunkach ubiegło to życie! Pod wpływem zabójczego klimatu i palących promieni słońca Europejczyk chudnie jak szkielet; narażony jest na złośliwe febry i śmiertelną chorobę śpiączki; na pożarcie przez ludożerców; na straszne burze i trąby powietrzne, mniej jednak przykre, niż ukąszenia moskitów i różnych innych owadów; na napady białych mrówek, niszczących wszystko po drodze; na zasadzki zbiegłych niewolników, którzy w pierwszym roku pobytu x. Augonard zamordowali 29 osób z jego otoczenia. Rozumiał on, ile prócz tego będzie musiał pokonać trudności, żeby dzikich barbarzyńców zamienić w chrześcijan, ale to wszystko zamiast zrazić, podniecało jeszcze zapał i gorliwość sługi Bożego.

Na przestrzeni większej 13 razy od Francji znajdowało się 30 misjonarzy i 20 zakonnic. Ta garstka miała przed sobą takie zadania: nawracanie murzynów, nauczanie ich rzemiosł, rolnictwa i wogóle pracy, zakładanie szpitali i pielęgnowanie chorych, prowadzenie szkół dla dzieci murzyńskich. I temu wszystkiemu podołać musiała ta garstka ludzi, nękanych przez okropny klimat!

Tajemnicze wnętrze Afryki najwięcej nęciło x. Augonard: pragnął iść bez broni, jeno z krzyżem w ręku do ludożerców, od których oddzielały go łańcuchy gór, bezwodne piaski, puszcze, a na olbrzymiej rzece Kongo 32 katarakty. W roku 1881, po miesiącu pieszej, uciążliwej podróży dotarł do jeziora Stanley Pool i tam założył pierwszą osadę misyjną Brazzaville, dziś połączoną z wybrzeżem przez kolej żelazną. Zczasem powstawały inne osady nad rzekami Ogne, Ubanghi i Alima, dopływami Kongo. X. Augonard musiał być jednocześnie inżynierem, budowniczym, strycharzem, mechanikiem, nauczycielem, ogrodnikiem, lekarzem, hodowcą, nie przestając nigdy być misjonarzem. Dzięki niemu na pustkowiach w głębi Afryki wyrastały coraz to nowe ogniska wiary, oświaty, cywilizacji i pracy.

Opatrzność chroniła go cudownie śród niebezpieczeństw. Bezbronny, przechadzał się śród murzynów, którzy codzień jadali ludzkie mięso. Kiedy się dowiedział, że ma być mianowany biskupem tej olbrzymiej diecezji, opierał się temu i uległ dopiero rozkazowi papieża.

Nadzwyczajne osięgnął wyniki! W 82 szkołach jego diecezji uczyło się 5600 dzieci murzyńskich; 107 nauczycieli krajowców pomagało tam misjonarzom i zakonnicom. To było w roku 1920. W katedrze w Brazzaville, zbudowanej przez niego, podczas pasterki 2300 czarnych przystąpiło do Komunji św.. Każda misja posiadała wzorowe gospodarstwa i bujne sady owocowe. Nawróceni murzyni wyrzekali się na zawsze ludożerstwa i wielożeństwa.

Ten mąż zasłużony, ideał misjonarza, zmarł w Paryżu roku 1921.

Zofja Sokołowska.

Z UROCZYSTOŚCI WŁOŻENIA BIRETU KARDYNALSKIEGO X. NUNCJUSZOWI LAURI'EMU W WARSZAWIE



Fot. Pikiel.

Siedzą: od lewej ku prawej Mgr. Chiarlo, który przywiósł biret z Rzymu, x. prymas arcybiskup Hlond, kardynał nuncjusz Lauri, prezydent Rzeczypospolitej, kardynał Kakowski, Piłsudski, x. biskup Gall, stoją: hr. Paulucci, goniec papieski, ministrowie i prałaci.

ZJADACZE MIĘSA

Życie i obyczaje Eskimów.

Opatrzność rzuciła ludy na niezmierzone obszary: jednym dała uśmiech słońca wieczny, innym w zmiennym klimacie żyć zleciła, a wyjątkowym obdarzyła hartem te nieliczne plemiona, które żyją od lat setek, może i tysięcy w krainie lodów i śniegów.

Najdalej wysuniętym ludem ku biegunowi na północy są Eskimowie (Eskimosi), dosłownie zjadacze mięsa. Spotkasz ich w Ameryce — na złotodajnej Alasce i w ponurej ziemi Labrador, zetkniesz się z nimi podróżniku na Grenlandji, wyspie należącej do Danji, największej na świecie, a niektóre plemiona zbliżone do Eskimów (Mozinko) zoczysz brodzące w północnej Syberji.

Niewiele tego „luda" podbiegunowego: nie będzie nawet 50 tysięcy, ale i zliczyć go trudno, bo w lecie uwijają się na morzu na łódce-kajaku, łowiąc zwierzęta, ryby i ptaki, a w zimie któryż rachmistrz, któryż komornik chciałby narazić życie w podróży do osiedli Eskimów poprzez wały śniegu w straszliwej zawierusze.

Ale warto się do nich zbliżyć w innym celu. Warto zapoznać się z ich życiem i obyczajami, niejedno będzie dla nas przykładem...

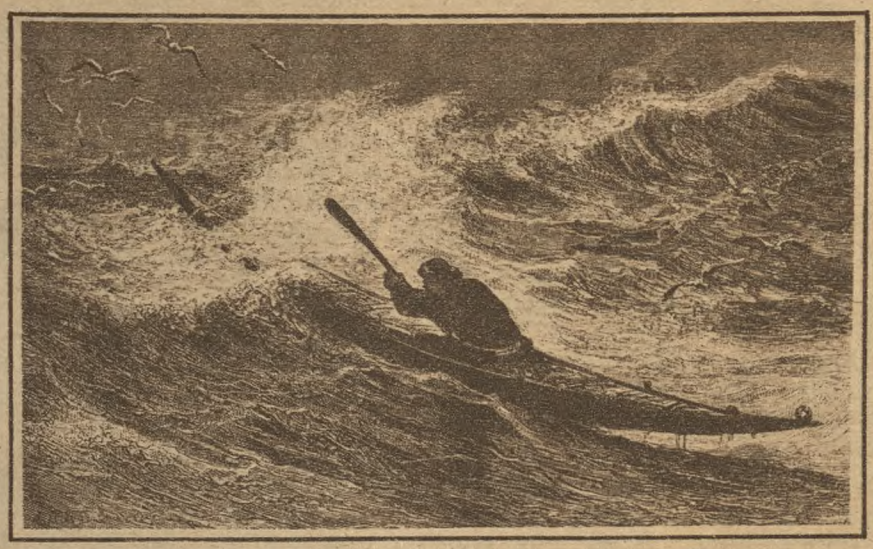
Przenieśmy się więc na chwilę na wyspę Grenlandję i przypatrzmy postaciom Eskimów. Lud to jest silnie zbudowany, średniego wzrostu, o czarnych oczach i włosach kruczych. Mężczyźni ich nie strzygą, niektóre niewiasty na twardo włosy prężą jak szczecinę (czem? nie dopowiemy, boby który czytelnik jak Podbipięta Zagłobie zauważył, że „hadko słuchać") i wgórę wplatają między postronki, a na postronkach nizają muszelki (p. obrazek). Cerę mają ciemnożółtą, oczy niewielkie, nos spłaszczony, grube usta i kości policzkowe wydatne, tak jak inne ludy, żyjące na północy lub Tatarzy. Ubierają się oczywiście bardzo ciepło: kaftan ich — timiak — jest zrobiony ze skóry ptasiej, piórami wewnątrz, a z kaftanem nierozdzielny jest kaptur na głowę, zastępujący czapkę. Kołnierz fokowy owija szyję. Na kaftan nakładają świtkę bawełnianą, sprowadzoną z obcych krajów. Spodnie są ze skóry fokowej, stopy bose w podwójne owijają skórznie, między któremi pakują, aby cieplej było, trawę morską.

Eskimos słynie z gościnności. Chodźmyż z nim do chaty. Chaty stawiają na zimę, w lecie rozbijają namioty skórzane. Ale to sztuka nielada dostać się do chaty, jakby ona była skarbcem najprzedniejszych klejnotów!



Tymczasowa siedziba Eskimów. (Mozinko)

Musisz człecze, rad nie rad, zejść w ziemię i wąskim gankiem czołgać się niemal, a kto podtatusiały, lepiej niech nie próbuje, bo uwięźnie. Wydostajesz się wgórę i wchodzisz do izby pełnej ludzi: rodziny mieszkają wspólnie, będzie w takiej chacie ze 30 do 40 osób. Duszno tu, woń amoniaku w nos bije, tłuszcz gotowany cuchnie w



Eskim grenlandzki w kajaku.

garnkach nad lampami. Mężczyźni naprawiają dzidy, łuki, harpuny, kobiety gotują strawę lub szyją. Obie płci mają huk roboty. Kajak czyli łódź męska na jedną osobę i wielka łódź kobieca uderzają oko przybysza. Jakże taka rodzina eskimoska żyje? Jeśli poganie, to przeważnie w wielożeństwie. Pragnieniem każdej rodziny jest mieć jak najwięcej potomstwa. Eskim to nie Francuz, który się martwi, co zostawi jedynakowi. Gruntu nie ma, ale wie, że każdy syn będzie mu walną pomocą i doskonałym łowcą fok. To też ze synów cieszą się rodzice, a przyjście na świat córki oblewają łzami. I to dziw, gdyż dziewczyny są tak pracowite, jak chłopcy, choć zazwyczaj nie polują, siedząc w domu i szyjąc. Nawet wdowa, tylko wtedy liczyć może na zamęźcie powtórne, o ile ma synów. A chłopców sieroty opiekunowie czułem otaczają staraniem, dziewczętom to tylko jeść dają i tyle. Miłość rodzicielska i dzieci ku rodzicom wśród Eskimów jest ogromna. Pamiętajmy, że dzieci ciągle przebywają w domu pod okiem matki i ojca, o ile nie jest na łowach.

Ale nietylko ta miłość jest zaletą ludu podbiegunowego, chcesz wejść z Eskimem w stosunki handlowe, śmiało udziel mu kredytu bez weksla, chociaż rachunek zna do pięciu, a odda ci dług w terminie. Przynajmniej tak jest w całem plemieniu. Czasem z Europejczykami postąpią nierzetelnie. Ale to jest odpłata złem za złe. Zresztą Eskimowie siebie nazywają „Inuit", to znaczy ludzie, Europejczycy według nich należą do „psiego rodu". A t, pojęcia śmieszne, niewiadomo skąd się wzięły, ale tkwią w głowach Eskimów. Najlepiej ocenimy uczciwość Eskima, gdy usłyszymy jego rozmowę z rodakiem. Rodak pragnie nabyć jakiś przedmiot. Sprzedawca nie zablaguje mu, nie zachwali, nie złudzi, ale przeciwnie wyłuszczy wady przedmiotu tak, aby się nie omylił kupujący. Przypuśćmy teraz, że kupno zawarte. Kupujący po kilku miesiącach zwraca towar nieco zużyty, i sprzedawca przyjmie go bez wahania.

W obejściu Eskimowie są bardzo grzeczni, nie znają przekleństw i wyzwisk, nie zaprzeczają, nawet gdy widzą, że ktoś nieprawdę mówi, chrząkają tylko znacząco. Kiedy do ich uszu doszły swary Dunek, które się sprowadziły z mężami do Grenlandji, byli zgorszeni i za nic sobie mieli „psi ród" europejski. Spróbujcie im złe słowo powiedzieć. W milczeniu zbiorą manatki i tyleście ich widzieli. Nie znają wojen, jakie toczą między sobą Indjanie i ludy murzyńskie, zabójstwo zdarza się bardzo rzadko — na morzu. A już w podziw wprawia ich pomoc wzajemna. Gdy jedna rodzina głoduje, inna nie patrzy na głód obojętnie, ale przynosi zapasy i dzieli się niemi, najlepszym przysmakiem — odkrojonym kąsem żołądka renifera, choćby obie później głód cierpiały. A głód zagląda do śnieżnych chat Eskimów. To są dzieci. Nie obliczają zapasów na czarną godzinę, jedzą ile „wlezie", po pięć, dziesięć funtów mięsa i tłuszczu na posiedzeniu. A potem bywa, że mimo zapasów zrobionych, niema ani kawałeczka, i trzeba krajać i gotować własne spodnie skórzane i gryźć jako przysmak w czas głodowy.

Nie wszystko co widzimy u Eskimów, jest chwalebne. Oto naprzykład, małżonkowie rozwodzą się z żonami, ale powody rozwodów są całkiem inne, niż w Ameryce



Wódz Eskimów z harpuną.



Uczesanie Eskimki.



Łup Eskimów: niedźwiedź biały ubity strzałami z łuków i włócznią.

lub we Francji. Chrześcijańscy Eskimowie oczywiście żyją w jednożeństwie i rozwodów przynajmniej u katolików (na Alasce) niema.

Dziwna rzecz, jak ten lud śmiały i zahartowany boi się śmierci. On nawet cierpiące staruchy wyrzuca za żywa do dołu, aby się tylko nie tknąć — nieboszczek. W chacie ma otwór tylko dla „umarlaków" przeznaczony. Bo zwykłem wejściem duch mógłby wrócić. I cóż ten duch może złego zrobić? Eskimowie nie wiedzą, ale panicznie się duchów boją, zwłaszcza w nocy, niech ktoś potrząśnie śpiącego i rozbudzi, to obudzony zacznie krzyczeć, że widział „kitwioka" czyli ducha. Eskim poganin wierzy, że ma duszę, ale o Bogu ma niejasne pojęcie. Niebo, sądzi, że leży w głębi ziemi.

Krótka jest radość Eskimów z lata. Krótko trwają łowy jego na morzu. W zimie czasem tylko przy pogodzie urządza łowy z psami. A wartoby mu towarzyszyć w polowaniu. Cóż kiedy kajak na jedną tylko osobę zrobiony — z drzewa, łupinka tak lekka, że się lekko niesie na grzbiecie, obszyty ściśle zgóry i spodu skórą. A miejsca w nim ledwie tyle, by usiąść. Eskim nakłada jeszcze jednę jaczkę nieprzemakalną, tak iż z kajakiem stanowi jakby całość, deszcz nie przedostanie się przez otwory w łodzi, bo tych otworów niema wcale. Nawet gdyby się łódź wywróciła, woda jej nie zaleje. Eskimowie umieją sami łódź dnem do góry wywracać, gdy fala nadciąga — fala przeleje się przez dno, a za chwilę Eskim z kajakiem już wypływa. Podziwiać trzeba jak w niewygodnym kajaku, gdzie się „kiernąć" niesposób, Eskim odprawia łowy. Ma coprawda harpunę, która ostrzem kościanym godzi w zwierzę, a rzemieniem przywiązanym do drzewca ściąga ranną lub zabitą sztukę. Z fokami to łatwa sprawa, ale krowa morska czyli mors ranny rzuca się, kłami strasznemi kłapiąc, a za nią całe stado spleszy z odsieczą, przebić gotowe skórę kajaka, a wtedy strach! Woda zaleje łódź szybko. Więc Eskimie, zmykaj co prędzej! Ubitą zwierzynę Eskim owiązuje po bokach kajaku, a gdy przybije do brzegu, żona zajmie się wyciąganiem zwierza i krajaniem, a nieraz ciepły tłuszcz foki zaraz idzie do żołądka łowcy. Czasem Eskimowi zdarzy się przygoda. Gdy ćwiartował w oddaleniu od domu fokę, ktoś go potrącił szorstko; nie odwrócił się, sądząc, że to jest towarzysz polowania, ale gdy poczuł mocne uderzenie, obejrzał się i struchlał: oto niedźwiedź biały ślinę połykał na fokę. Oczywiście do walki z nim w takim razie jest za późno i trzeba mu fokę odstąpić. Zato miś wspaniałomyślnie daruje życie łowcy, wszak mógłby uderzeniem łapy zmiażdżyć czaszkę i piersi Eskima.

Dużoby pisać, i wołowej skóry nie stałoby na pisanie o tym ludzie podbiegunowym, który sobie tylko nadaje tytuł „ludzi". Nansen, sławny podróżnik, wielki tom spisał o ich obyczajach, a jeszcze za mało. Eskimowie są dziś na wymarciu, zetknięcie się z Europejczykami pod wielu względami im zaszkodziło. Od białych przejęli nałóg pijaństwa, używania narkotyków — kawy, tytoniu, zarazili się od nich rakiem i suchotami, chociaż suchotnicy wśród Eskimów żyją do późnej starości, krwią plując. Norwegowie, Duńczycy. Szkoci sprawili im wielką konkurencję w łowach na foki, morsy i wieloryby. W Ameryce rząd Eskimów wynagrodził renami, które się szybko rozmnożyły, i dają w braku fok znakomite mięso i skórę.

Czy nas znają Eskimowie? Niemiec Drygalski z polskiej rodziny poznał ich bliżej. Znakomici podróżnicy Arctowski i Dobrowolski zapędzili się pod biegun południowy, a tam Eskimów niema. Być może jednak, że się stykali z nimi misjonarze Polacy.

Marja Czeska-Mączyńska.

Mściciel

(Ciąg dalszy.)

Chwila długa, jak wieczność i... zgrzyt klucza w zamku.

— Proszę wejść.

Przygotowany był na odprawę, przygotowany na skupienie reszty sił, wtargnięcie przemocą, brzęk wybitej szyby zgłuszyłby wicher szalejący wkrąg, a potem...

Sam nie wiedział co dalej, jakaś krwawa mgła przysłaniała mu myśl.

A oto drzwi się otwarły...

Wszedł i oparł się o ścianę, jasne światło kuchennej lampy padło teraz na jego twarz siną, obrzękłą z zimna i włosy mokre, bezładnie lepiące się do skroni, chciał mówić, nie mógł.

W kobiecie litość walczyła z lękiem, straszny był w swojej nędzy, myślała, że oto jest z nim sama, w domu ustronnie położonym, że za oknem wicher szaleje i że mógłby ją tu zamordować, a nikt nie posłyszałby jęku ofiary i żałowała, że otwarła. A potem znowu zwyciężyła litość, przecież i to był człowiek, gdyby go odtrącili od wszystkich progów, musiałby paść tam, w śnieżnych polach z wycieńczenia i z zimna, a przecież Chrystus nakazał miłować bliźniego, jako samego siebie, a ona zawsze starała się iść śladem jego nauki.

O jakże bolesną i straszną jest nędza.

Ochłonęła już z pierwszego wrażenia i siląc się na uśmiech, podsunęła mu krzesło.

— Usiądźcie, lepiej tu, z daleka od ognia, zdaje się przemarzliście bardzo...

Ruszał ustami, chcąc wydobyć głos, wreszcie udało mu się, było to jakieś półkrakanie.

— Ręce i nogi mam jak kłody... o!

Wyciągnął ku niej siną obrzmiałą rękę o palcach, które mu teraz pod wrażeniem ciepła tak zesztywniały, że ruszać niemi nie mógł.

— O biedaku...

Szybko wybiegła z kuchni i wróciła z miednicą pełną wody, zapomniała już o swoim lęku, o wstręcie, jaki ją ogarnął w pierwszej chwili, był dla niej teraz tylko człowiekiem potrzebującym pomocy.

— Włóżcie ręce i nogi do wody, to najprędzej pomoże, odzyskacie w nich władzę, zaraz wam posiłek przygotuję.

Uczynił, jak kazała: najpierw zanurzył w wodzie ręce i czuł zwolna, jak mu w nich władza wracała, mógł już niemi poruszać, mógł zginać i rozprostowywać palce. Równocześnie ogarniało go coraz bardziej ciepło płynące od pieca, napełniając rozkoszą dawno niezaznanego spoczynku. Łakomemi oczyma chłonął poruszenia kobiety, patrzył jak nalewała mleko do garnuszka, jak krajała chleb, usiłował tylko nie spotkać się z jej wzrokiem, te łagodne, szare, tak po macierzyńsku patrzące oczy, budziły mu w duszy mieszaninę wstydu i żalu.

Przecież chciał...

Spuścił oczy, zapatrzył się na własne poranione nogi, z miednicy, przy gwałtownym ruchu, jaki uczynił przed chwilą, przelała się woda i płynęła wąskim, czarnym strumieniem po czystej, sosnowej podłodze.

I on sam swoją własną obecność w tym domu odczuwał jak taką błotną plamę.

— Jedzcie proszę. — Kobieta postawiła przed nim mleko i chleb, a widząc spojrzenie, jakie na bochenek rzucił, głodne spojrzenie zwierzęcia, uspokoiła się. — Później dam wam więcej, nie można dużo zjeść nagle, moglibyście odchorować. Zdaje się, bardzo zgłodniali jesteście, a obfitość pokarmu na czczy żołądek zaszkodzić może. Jak dawno nie jedliście?

— Dwa dni...

I nagle stanęła mu w pamięci cała bieda przeżyta, całe piekło przez jakie przeszedł w Bolszewji, i zadrżał.

— Dlaczego nie jecie? Mleko ciepłe, zagrzejcie się.

Spojrzał ku niej i zaczął jeść. Po zmęczonym mózgu kołatały się myśli niepokoju pełne: jak zjem, to mnie pewno za drzwi wyrzuci i znowu trzeba będzie iść w tę noc, w ten ziąb. Żeby chociaż jedna noc wytchnienia, żebyż raz znowu przespać się jak człowiek.

Za oknami wicher wył i lodowate krople zmarzłego deszczu dzwoniły o szyby, zdawało mu się, że czuje je znowu na twarzy.

Jadł, coraz wolniej, pragnąc odwlec jak najdalej chwilę, gdy garnek dnem zaświeci i zniknie ostatni kęs chleba, a kobieta rzeknie mu: idź z Bogiem, człowiecze, a za progiem ogarnie go wicher, noc, śmierć może.

Ot co, najlepiej byłoby...

Jego oczy przesunęły się po ścianie i spoczęły na palce do tarcia maku, wisiała obok łyżnika, gładka, okrągła, czysta...

Takżebym jej odpłacił za chleb, za dobroć?

I cóż, że mi dała jeść i pić.

Spojrzał ku niej i w oczach zamigotał mu znowu czerwony, zły błysk.

Milczała, pogrążona w zadumie, wsłuchując się w dziką melodję wichury, myślała, jak dalej postąpić? Czy na to go ogrzała i napoiła, by znowu wypchnąć, na zagubę może. Przenocować go na podstryszu, gdyby nie miał tego dziwnego, złego błysku w oczach. Najlepiej dać mu trochę pieniędzy, niech idzie do miasteczka i przenocuje w zajeździe. Sama jest i boi się go.

Ale iść po pieniądze do starej, dębowej komody też się lęka, któż wie, czy on nie poszedłby za nią, nie zrabował z takim trudem uciułanego grosza. Przy sobie nie ma niestety ani grosza.

Może kto nadejdzie.

W taką noc? Nikt...

Chybaby Bóg zesłał. I zaczęła się w duchu modlić żarliwie, a chcąc odwlec chwilę decyzji, podała mu drugi garnek mleka i kawałek chleba.

— Skądże wam taka nędza? Młodzi, zdaje się, jeszcze jesteście i wyglądacie zdrowi.

— Z niewoli wracam, zagarnęli nas prawie, że cały pułk pod Dęblinem, dwa lata byłem w głębi Rosji, gdzieś aż w saratowskiej guberniji, a potem przyszła rewolucja...

— I!?

— Robiłem to co inni, przyłączyłem się do band, co po kraju grasowały, no i nareszcie znalazłem się na swojej ziemi. Strzelali do nas na granicy, kilku z nas padło... A potem człowiek szedł i spotykał wsi, w których nie było ludzi, jeno cmentarzyska, a głód był mi bratem i towarzyszem. Ot, psia dola ludzka! Tyle lat poniewierki i oto człowiek w łachmanach wraca i... sam jest jak łachman.

— Teraz jesteście wśród swoich, będzie wam lepiej...

Zaśmiał się urągliwie:

— Lepiej! Myślałem, że padnę tam, w borze, dojrzałem światła, płakałem i śmiałem się ze szczęścia, do swoich szedłem. Od pierwszych drzwi odgoniono mnie jak psa, z drugiej chałupy wyrzucono, żem o mało karku nie skręcił. Ot, jak to człowiek, człowiekowi brat! Pani przyjęła, ale za chwilę i pani powie: Idźcie precz! Zwierzęciu lepiej na świecie. Gdyby pies wygłodzony zawył na progu, toby go ludzie przygarnęli, przenocowali, tylko człowiek boi się człowieka.

Zakłopotała się, po jej jasnej twarzy przesunął się cień i oczy zmierzchły smutkiem.

— Bo widzicie, pies nigdy nie ukąsi ręki, która mu chleb podała, a ludzie... różni bywają.

— A bywają...

Zaległo milczenie, oczy człowieka znowu tułały się po kątach, a kobieta usiłowała odgadnąć z tych młodych rysów, duszę. Teraz gdy się ogrzał, ustąpiła owa obrzmiała siność rysy były regularne, oczy ciemne, duże, ale ponure, schowane pod czaszką, usta młode o niemiłym wyrazie szyderstwa i lekceważenia. Może był z niego przystojny człowiek, może nawet dobrym był, wojna ludzi paczy, krew lgnąca do rąk, śmierć grożąca co chwilę, rodzi w człowieku albo bohaterstwo i nadludzką prawie szlachetność, albo budzi w nim zwierzę.

Człowiek skończył jeść, wyjął nogi z wody i otarł je ręcznikiem, który mu podała, i znowu jej serce ścisnęło się uczuciem litości wielkiej, takie poranione, opuchnięte, takie bardzo biedne były te nogi i znowu miał je zawinąć w te brudne, cuchnące, przemokłe szmaty.

— Zaczekajcie, zaopatrzę wam nogi, boleć was bardzo muszą, dam wam czyste szmaty.

— Poco? — odburknął. — I tak zamokną zaraz, szkoda płótna. Iść trzeba, narobiłem wam tyle nieporządku i kłopotu, nędzarz, to wszędzie wlecze swoją nędzę.

Błąkał się jej po ustach wyraz: zostańcie... ale lęk zwyciężył litość. W milczeniu patrzyła, jak nogi obuł, podniósł się ociężale i z trwogą prawie za okno spojrzał. Tak wicher wył...

I znowu jego oczy wróciły do owej pałki i cofnęły się z rozpacznym wyrazem. Miałżeby i on być gorszy od psa. Trzeba iść, kto wie coby mu mogło zwyciężyć w duszy.

— W mieście zaraz na początku jest zajazd, tam zanocujcie.

— Nie mam pieniędzy, — rzucił głucho.

Spotkały się jej oczy nieufne i jego oczekujące.

Nie, nie mogła się zdobyć na odwagę, by przy tym człowieku pieniądze ze skrytki wydobyć, miał znowu w oczach zły błysk.

Budziła się w nim bestja...

— Bądźcie zdrowi.

Wybiegł z izby, jakgdyby chciał uciec od samego siebie, potknął się na beczce z kapustą, rozwarł drzwi od pola, wicher łachmany rozwiał i lodowatem tchnieniem w nagą pierś uderzył.

I wtedy...

Odwrócił się, kobieta stała tuż za nim, wyszła, by drzwi za niepożądanym gościem zamknąć. Jego palce nagle schwyciły jej szyję...

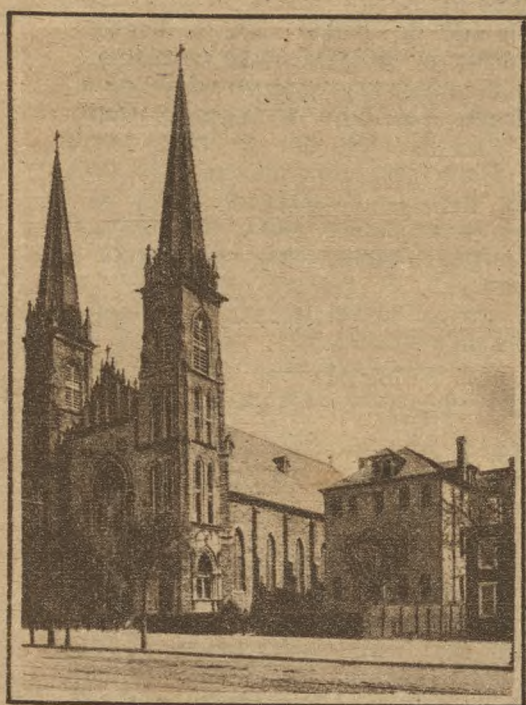
Puścił ją...

Upadła ciężko, a siwiejąca jej głowa uderzyła głucho o próg kuchni.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ćwierćwiecze pracy zbożnej kapłana

x. Mieczysława Monkiewicza w Filadelfji.



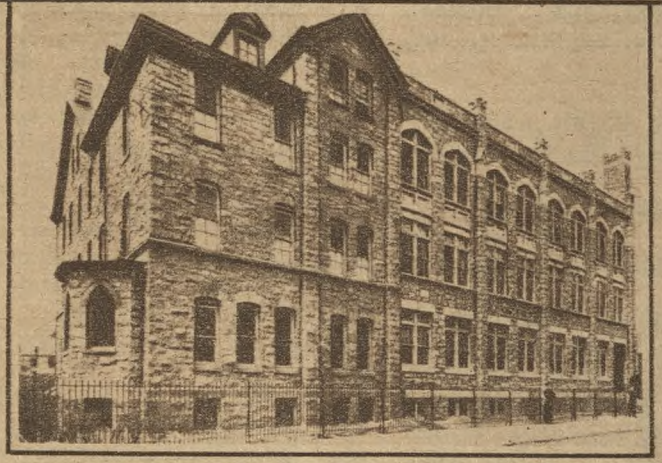
Kościół św. Wojciecha z plebanją w Filadelfji.



X. jubilat Mieczysław Monkiewicz z Filadelfji.



Główny ołtarz w kościele św. Wojciecha w Filadelfji.

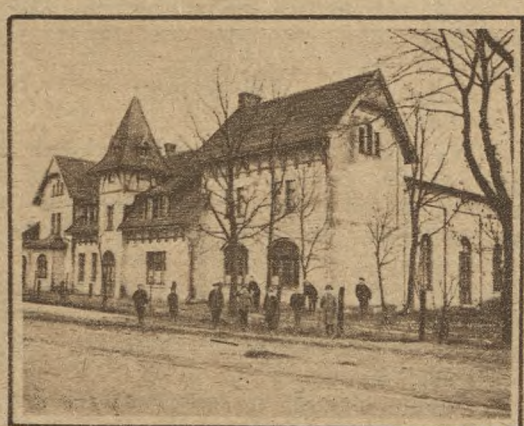


Szkoła parafjalna i dom sióstr nazaretanek.

Srebrny jubileusz kapłaństwa — to ćwierć wieku wytężonej pracy w Winnicy Pańskiej, — w Ameryce to dwadzieścia pięć lat działalności społeczno-religijnej w najrozmaitszych kierunkach. Polacy w Ameryce, a z nimi kler polski żyją wciąż w okresie budowy, że tak powiem w wieku — cegły i wapna. Wciąż trzeba organizować nowe parafje, budować kościoły, szkoły, klasztory i inne gmachy, potrzebne do naszego życia społeczno-religijnego. Dwudziestopięciolecie kapłaństwa, które w listopadzie r. z. obchodził x. Mieczysław Monkiewicz, proboszcz parafji św. Wojciecha w Filadelfji, jest dobrym przykładem pracy kapłana polskiego w Ameryce.

X. Monkiewicz przybył do Ameryki jako student gimnazjalny. Kurs klasyczny i filozofję ukończył w seminarjum polskiem w Detroit. Teologji słuchał w seminarjum w Overbrook, Pa. Polem jego pracy miała być diecezja filadelfijska, w której znajduje się kilka najstarszych i największych osad polskich. Po paroletniej pracy w różnych parafjach na stanowisku wikarego w roku 1904, z polecenia arcybiskupa Ryana x. Monkiewicz organizuje parafję św. Wojciecha w Filadelfji. Historja mówi o królu Kazimierzu, że zastał Polskę drewnianą, a zostawił ją murowaną. X. Monkiewicz zastał tylko pola, bagna i kilka chałup polskich emigrantów. Zabrał się energicznie do pracy i przy pomocy swych gorliwych i ofiarnych parafjan w krótkim czasie wzniósł mały kościołek i szkółkę. Ludzie zaczęli coraz liczniej do tej nowej dzielnicy napływać. Za parę lat brakło miejsca. Trzeba znów budować, teraz już na wielką skalę. Więc też mimo trudności finansowych, mimo t. zw. „ciężkich czasów" x. Monkiewicz zbudował wspaniały, w stylu gotyckim, kościół z ciosanego granitu i takąż plebanję. Stary kościół zamienił na halę i szkołę. Lecz zanim zdołał wypłacić kościół, przyrost parafji był tak szybki, że szkoła okazała się za mała. Znów trzeba było budować, znów zaciągać pożyczki, znów urządzać kwesty i zabawy. W przeciągu dwudziestu lat z niczego powstała wielka parafja, posiadająca wspaniały kościół, plebanję, szkołę i dom sióstr. Majątek parafji dziś przedstawia wartość miljona dolarów.

X. Monkiewicz budując przepyszne gmachy dla



Uniwersytet ludowy w Odolanowie w Wielkopolsce (czyt. art. str. 95).



Fot. P. Szewczyk, Odolanów.

Członkowie komitetu z x. Ludwiczakiem. (X)

użytku parafjan nie zapomniał o stronie duchowej i narodowej ludzi swej opiece powierzonych. Liczne towarzystwa kościelne, narodowe i dobroczynne najlepiej świadczą o jego niezmordowanej pracy. Wszelkie uroczystości narodowe, wszelkie zbiórki na cele narodowe i patrjotyczne zawsze gorąco popierał. Nic więc dziwnego, że jego srebrny jubileusz kapłaństwa stał się nietylko wielką uroczystością parafjalną, ale także manifestacją o daleko szerszym zakresie. Gdyż podczas solennej Mszy św. solenizanta, w sanktuarjum na tronie zasiadał x. kardynał D. Daugherty, x. biskup sufragan M. Crane, kilkunastu prałatów i przeszło stu pięćdziesięciu księży, którzy przybyli zdaleka i zbliska, aby uczcić tak dzielnego i gorliwego kapłana-Polaka.

Zbytecznie opisywać powinszowania, wspaniałe dekoracje kościoła i sali parafjalnej, i przemówienia. To wszystko były tylko wyrazy i oznaki szacunku, miłości i poważania, jakiem wszyscy otaczają solenizanta. Najlepiej o nim świadczy jego ćwierć wiekowa praca. Można o nim powiedzieć: Jeżeli pomnika pragniesz — obejrzyj się. Ad multos annos. *X. S. A. Iciek.*

O cegiełki oświaty

Wielkie cele trzeba popierać wspólnemi siłami. W myśl tego hasła urządza się tygodnie, poświęcone bądź lotnictwu, bądź flocie, bądź wstrzemięźliwości, bądź młodzieży i t. d. Ale jest coś jeszcze bardziej ogólnego, coś potrzebniejszego niż lotnictwo, flota, wstrzemięźliwość, organizacja młodzieży, coś co jakby otwiera oczy na te rozmaite cele narodowe i społeczne. To coś — jest o ś w i a t a.

Oświata w Polsce jeszcze zaniedbana. Nowe szkoły buduje się z trudnością. Dość przejechać koleją, aby dostrzec ileż to pięknych domów już od lat paru stoi niewykończonych, bez dachu, a w otwarte okna i drzwi wchodzi tylko wiatr, gość niepowołany, i śmieje się, że to być mają niby gniazda oświaty — seminarja, szkoły, alekiedy będą!

Gdy zaś i do szkół gotowych po wsiach i miastach zajrzymy, ogarnie nas przykre uczucie pustki. Czego brak uderza w oczy — to książek. Szkoła bez książek na miejscu, bez bibljoteki, to wielki świecznik, na którym się tylko jedna świeca pali. Na inne niema pieniędzy. Niema pieniędzy, mówi ze smutkiem nauczyciel. Niema pieniędzy — słychać głos z Warszawy. Niema... I dzieci uczą się na wytłuszczonych elementarzach i rachunkach, lecz poza szczupłą książeczką katechizmu, poza abecadłem i rachunkami nic nie mają. Piękny świat, stworzony przez Boga, cudna przyroda, sławne dzieje ojczyste, ciekawe podróże i przygody, wszystko to dla dziatwy jest obce, nieznane i bodajże pozostanie nieznane aż do końca życia, bo szkoła nie ma książek do czytania, a w domu nikt ani pomyśli, ani ich zachęci do kupna. Aleć ta zachęta przyszła właśnie. Minister oświaty wydał hasło: Miesiąc książki w lutym! Miesiąc książki dla szkół powszechnych! Niech nauczyciele zwrócą się z prośbą do dzieci i rodziców o skromną ofiarę na książki. Niech wspólnemi siłami, naprzykład z miejscowym księdzem prefektem urządzą przedstawienie na scenie, popisy śpiewu, muzyki, wystawkę prac uczniowskich, a zysk z odwiedzin widowiska, popisu, wystawki, obrócą na zakup książeczek. Ten głos nauczycieli może już was doszedł, rodzice, przez dzieci lub od nich samych usłyszeliście prośbę o kilka, kilkanaście groszy na książkę. Niech da każdy, a powstanie w szkole, gdzie wasza dziatwa uczęszcza, bibljoteczka z 50—100 książeczek złożona ku nauce i rozrywce. I zamiast figle stroić, zamiast włóczyć się niewiadomo gdzie, lub nudzić rodziców niewiadomo czem, dzieci, mając pożyczoną książeczkę ze szkoły, umilą czas sobie, nauczą się czegoś więcej, niż im nauczyciel zdążył powiedzieć, a i wam, starszym, opowiedzą i tak was jak dzieci ogrzeje miłe ciepło Oświaty.

Oczywiście chodzi o książki stosowne dla dziatwy polskiej, obyczajne, nie jakieś bzdury. Minister oświaty polecił nauczycielom tylko książki nabywać, które są starannie przejrzane przez grono poważnych osób i polecone później przez ministerstwo. Spis takich książek ma każda księgarnia i każdy nauczyciel może go otrzymać.

Dalej tedy pod hasłem; książka w naszej szkole, rzućmy w lutym skromną ofiarę na książki dla swojej dziatwy!

Kurja arcybiskupia w Poznaniu o rzekomych objawieniach w Słupi

Kurja arcybiskupia w Poznaniu zawiadamia: „Badania władzy duchownej w sprawie głośnych zajść w Słupi (parafja średzka) nie wykazały nadprzyrodzonego charakteru rzekomych wizyj, które stanowią treść owych wydarzeń. Stwierdziła przytem władza duchowna, że zajścia słupskie z jednej strony wzbudziły wprawdzie u wielu odruch pobożności, lecz równocześnie z drugiej strony w niejednym wypadku w skutkach swych doprowadziły do chorobliwych podniecień szkodliwych dla wiary i dla powagi Kościoła. Wobec tego władza kościelna wzywa wszystkich wiernych, aby zaprzestali wycieczek do Słupi, a natomiast tem więcej czcili Najświętszą Marję Pannę przez stałość w wierze, przez życie cnotliwe i przez sumienne spełnianie swych obowiązków religijnych we własnym kościele".

Ze świata katolickiego

† Arcybiskup Matulewicz.

Dnia 27 stycznia zmarł w Kownie w wieku lat 56 x. arcybiskup Jerzy Matulewicz, były biskup wileński. Zmarły był kapłanem wysoce wykształconym i dla spraw religijnych położył duże zasługi. Największą zasługą jego było powołanie do życia od nowa zgromadzenia xx. marjanów, którzy kształcą młodzież i mają parę szkół średnich.

Ś. p. x. arcybiskup był również jednym z krzewicieli zasad chrześcijańsko-społecznych (demokratycznych) w Polsce. Stolica Apostolska mianowała go niedawno wizytatorem na Litwę. R. i. p.

Prasa katolicka w Niemczech. W Niemczech wychodzi 28 teologicznych czasopism, 3 filozoficzne, 20 wychowawczych, 8 historycznych, 11 krytycznych, 7 teatralnych, 2 poświęcone dziennikarstwu, 4 sztukom pięknym, 10 muzycznych, 3 przyrodnicze, 24 gospodarczych i politycznych, 27 dobroczynnych i społecznych, 20 oświatowych dla inteligencji, 39 tygodników popularnych, z tego mają „Sterne und Blumen" nakład 300 tysięcy, „Der Volksverein" 475000; 6 religijnych dla inteligencji, 78 dla ludu, z tego bije „Die christliche Familie" 173000, Katholisches Sonntagsblatt (Wrocław) 100000, „Die katholische Welt" (w Polsce wychodzi?) 35000, „Leo" 100000, „Männerapostolat" 250000, „Sendbote der heiligen Familie" 120000, „Wiener Kirchenblatt" 200000; 14 czasopism wydają zgromadzenia zakonne, 13 jest tercjarskich i 52 misyjne („Bonifatiusblatt" 300 tys., „Negerkind" 150 tys., „Die Weltmission" 300 tys.); 26 dla dzieci; 60 dla młodzieży żeńskiej i męskiej; 23 dla niewiast; 21 zawodowych (dla księży); 14 studenckich, 3 urzędnicze, 22 nauczycielskich, 5 kupieckich, 2 dla pielęgniarek, 5 rzemieślniczych, 8 dla rolników, 10 dla robotników, 4 dla służby, 2 poświęcone szerzeniu pokoju.

Odolanów miasto powiatowe, położone w południowej części województwa poznańskiego na granicy Śląska, posiadało dom który przed 6-ciu laty nabyli metodyści i umieścili w nim zakład wychowawczy dla młodzieży. Obecnie powziął magistrat oraz rada miejska myśl dom ów od metodystów wykupić i założyć w nim placówkę oświaty tzw Uniwersytet Ludowy. Dzieje się to pod kierownictwem x Ludwiczaka, Dyr. Tow Czytelń Ludowych.



Orka w Egipcie w pobliżu Teb. Wśród pól posągi Memnona faraona. Obraz znakomitego malarza prof. Aleksandra Laszenko, wystawiony w Poznaniu. Zakupiony do pałacu królewskiego d'Abdine w Kairze. Egipski wielbłąd orać może z powodu szeroko rozstawionych nóg z krową, nie z drugim wielbłądem.



Przewodnik w pustyni nubijskiej na południe od Egiptu. Mal. Al. Laszenko.



Atlantic-Photo, Berlin.

Widok portu Szanghaju w Chinach, który próbują zdobyć czerwone wojska chińskie.



Atlantic-Photo, Berlin.

Wodospad Niagara w Stanach Zjednoczonych w zimie zlodowaciały.



Fot. B. Skąpski.

Zejście do katakumb św. Kaliksta w Rzymie.



Pp. Ignacy i Katarzyna Przybyłowie ze Staniewa p. Koźminem obchodzili 50-lecie małżeństwa. Ród Przybyłów od r. 1675 gospodarzy na tem samem miejscu.



Złote gody

Pp. Walentego i Juljanny Kostrzewów z Żółkowa, par. żerkowskiej.



Pp. Marcina i Józefy Szmytów z Kamionki p. Lubaszem.

Przedpłata kwartalna za „Przewodnik Katolicki" wynosi w **I kwartale 1927 r.** za egzemplarze osobiście odbierane w ekspedycji i agencjach poznańskich. **1,65 zł.**, w paczkach od 60 egzempl. **1,65 zł.**, za egzempl. wysyłane w **opasce** pod adresem imiennym w ilościach **od 1 do 9 egzempl. 2,40 zł., od 10 do 59 egz. 2.— zł.** Dla abonentów **pocztowych** przedpłata **kwartalna** wynosi **2.— zł., miesięczna** po **67 groszy** za każdy miesiąc łącznie z kosztami manipulacyjnemi.
Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 084 „Przewodnik Katolicki".

Radosny gość w chacie wygnańców

Wspomnienie o x. arcybiskupie Cieplaku.

W pewny jesienny wieczór siedziałam w saloniku cichego dworku państwa Bonieckich. Od kilku miesięcy dawałam lekcje Hance i Jankowi. W ten wieczór przytuleni do mnie słuchali moich opowiadań, wspomnień szkolnych i różnych przygód życia. Pani Elżbieta, ich matka, naprawiała bieliznę, jej brat przeglądał czasopismo i świeżo przysłane książki, a starzec p. Górski, ojciec pani Bonieckiej, siedział w fotelu i słuchał razem z dziećmi moich opowiadań.

Poprzedniego wieczoru zaczęłam im opowiadać o wielkiej uroczystości w mojej szkole, ale ktoś wszedł i przerwałam swoje opowiadanie. Teraz właśnie Janek zapytał, przymilając się do mnie;

— Panno Lutko, a co to była za uroczystość w szkole, którą pani zaczęła wczoraj opowiadać?

— Ach, to, — odrzekłam, — to była uroczystość wielka, przyjmowałyśmy X. biskupa Cieplaka po jego powrocie z Rosji. — I opowiedziałam przebieg uroczystości.

Gdy skończyłam, dziadek poruszył się w fotelu, chrząknął. Był to znak, że chce mówić.

— Skoro pani tak bardzo kocha X. Cieplaka, a dzieci widzę zasłuchane, to opowiem wam, w jakich okolicznościach ja widziałem tego świętego człowieka.

Dawne, dawne to czasy. Elżunia młodą była wtedy dzieweczką. O was, dzieciaki, nie śniło się jeszcze nikomu. Tak to dawne czasy. Mieszkałem wtedy, och, daleko od Polski, nie z własnej woli, wygnali mnie z kraju, zesłali daleko na wschód i północ. Mieszkałem na Syberji. To były straszne czasy męki i osamotnienia, straszne czasy rozpaczy, ach, i niewiary w Boga, i zwątpienia, i bluźnierstwa nawet. Tak, ale też to były czasy najgorętszej miłości ojczyzny i wiary największej, że nasze bóle i nasze cierpienia nie pójdą na marne, że Polska wolność odzyska. Kto nie wierzył w to, ten żyć nie mógł, ten łamał się, ten marniał lub upadał, ten, strach pomyśleć... Byli tacy, co sobie życie odbierali. Był taki w naszej gromadce, to Józef, mój przyjaciel serdeczny. Niema go już, jak niema nikogo z nich prawie. Wtedy było nas kilku, czterech i dwie kobiety, młode żony, co nie chciały opuścić małżonków.

Mieszkaliśmy w lichej wioseczynie, w chacie ledwie że skleconej, ciasnej, zimnej. Jakże tam dni wlokły się powoli, a niebo było takie białe, bezbarwne, jakby nie miało dla nas współczucia. Dokoła, gdzie oczy obrócić białe, śniegowe połacie. I wszędzie biało i biało, i tak beznadziejnie i tak strasznie, jakby Bóg opuścił, a ludzie zapomnieli.

Pamiętam noce bezsenne, długie, a jasne od śniegu. Noce bez końca przez pół roku trwające, noce kiedy najstraszniejsze myśli do głowy przychodziły. I pamiętam dni, co się skończyć nie mogły. Wtedy czerwony krąg słońca, czerwony jak krew rumienił śnieżne pola. A nam się zdawało, że to krew prawdziwa, że to krew Polaków aż tu zapłynęła, żeby przerazić katów. Ludzie nie byli tu źli, tylko tak strasznie obojętni. Zwyczajnie, ot ludzie. Później jakżeśmy przyzwyczaili się trochę, później po pięciu latach zżyliśmy się ze sobą, ale przedtem, jak psom kładziono czasem na ziemię przed progiem kawałek suchego chleba. Cóż i to było dobre i za to wdzięczni powinniśmy byli być Bogu.

W dwa pewno miesiące, a może więcej, kto wie, kalendarza nie mieliśmy wtedy, Józef zachorował, dostał gorączki jakiejś i febry paskudnej, ułożyliśmy go przy ogniu w chacie i czuwali przy nim.

Raz w nocy posnęliśmy wszyscy zmęczeni i nawet żona jego młoda, taka młoda, że dziecko jeszcze prawie, zdrzemnęła się trochę. Kiedy otworzyłem oczy, spostrzegłem, że Józefa niema, rozejrzałem się po chacie. Józef był, niestety zobaczyłem go; wisiał na skręconej koszuli. Obudziłem wszystkich krzykiem, zimny już był. Żona jego, ale pocóż wam opowiadać jej rozpacz. Ona nie płakała, nie mówiła nic nawet. Tylko raz słyszałem jej głos, taki straszny, że nigdy zapomnieć nie zdołam.

A starzec mówił dalej. Pochowaliśmy go w śniegu, nie w ziemi. Potem umarła żona drugiego towarzysza naszego. A nam było coraz gorzej, nam było coraz zimniej i straszniej, nam piekło otwierało bramy.

Tak upłynęło coś cztery lata. Żyliśmy bez spowiedzi, bez książki do nabożeństwa, bo nam odebrali, ach, bez modlitwy nawet. Żyliśmy jak dzicy ludzie.

Aż raz późnym wieczorem zapukał ktoś do naszej chaty. Myśleliśmy, że to ktoś z mieszkańców, obojętnie poszedłem otworzyć. Wszedł obcy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł zdejmując z głowy futrzaną czapkę.

Milczeliśmy patrząc na siebie coraz bardziej zdziwieni. Tu w głuchej sybirskiej wiosce usłyszeć te słowa wypieszczone w marzeniu tylko, potem zapomniane może... Tu słyszeć człowieka w polskiej pozdrawiającego mowie. Tu.... Nasze umysły pojąć już tego nie mogły.

Przybyły zrozumiał to widocznie.

— Bóg z wami dobrzy ludzie, chwalcie Go, jak ja Go chwalę. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powtórzył.

— Na wieki wieków — odpowiedzieliśmy chórem, głosami zmienionemi, jakby obcemi, głosami, które jednak z głębi serca pochodziły. Tylko jedna żona Józefa nie powtórzyła tych słów, natomiast odezwała się pochylając przed przybyłym głowę.

— Nie, panie, Bóg nie jest z nami!

Przybyły z początku nic nie odpowiedział, podszedł tylko do niej, popatrzył głęboko w oczy, a potem dopiero:

— Kobieto — rzekł — a czyś już zapomniała matczynego pacierza. Siądź tutaj, opowiem ci, jak to było kiedyś, kiedyś w ojczyźnie twojej i mojej zarazem, bo i ja Polakiem jestem — dodał zwracając się do nas. Kobieta posłuszna usiadła na wskazanem miejscu, przybyły obok niej.

— Przeżegnaj się najpierw razem ze mną, tak jak to czyniłaś kiedyś, pamiętasz jeszcze, prawda? W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen.

Kobieta machinalnie zrobiła znak krzyża.

— A teraz posłuchaj. Dawno temu byłaś małą, szczęśliwą dziewczynką, mieszkałaś w domu rodziców swoich, miałaś kochającą matkę i ojca bohatera, bo wszak był w powstaniu, prawda? — Kobieta skinęła głową, zapatrzona w przestrzeń.

— Przypomnij sobie, jak wieczorem matka twoja układała cię do łóżeczka, otulała kołderką, a potem małą rączkę twoją wziąwszy w swoje dłonie, czyniła znak krzyża i mówiła za ciebie słowa, te które ja przed chwilą powiedziałem: „W imię Ojca". Usypiałaś zaraz i śniłaś przez noc całą o ojcu twoim i o Ojcu w niebiesiech. Kochałaś ich, kochałaś całą mocą twego małego serduszka.

Rano, gdy tylko otworzyłaś oczy, brała cię w objęcia swoje matka ukochana i znowu robiła znak krzyża na twem czole. A teraz przypomnij sobie, jak kiedyś matka twoja wzięła cię ze sobą do wielkiego wspaniałego domu, jak ci pokazała wiszącego na krzyżu Człowieka i powiedziała, że to Chrystus, że to Bóg.

Pamiętasz pewno i to, jak pierwszy raz razem z tą matką powtarzałaś modlitwy, jak uczyła cię pacierza. Pamiętasz... i szły dalej wspomnienia dzieciństwa a tak wierne, że zdawało się nam, jakby ten ktoś nieznany, dawno, dawno był razem, jakby znał doskonale rodzinę biednej kobiety, jakby wiedział o wszystkich, co drogimi byli jej sercu. Każdy z nas zajął swe miejsce i milczał, każdy z nas odbiegł również w chwile własnego dzieciństwa i przypominał te czasy błogosławione.

Gdy w pewnym momencie podniosłem głowę, aby otrzeć cisnące się do oczu łzy, zobaczyłem, że nietylko ja płaczę, płakaliśmy wszyscy.

Spojrzałem na tę, do której zwrócone, były słowa nieznajomego. Klęczała oparta o jego kolana, a po twarzy jej bladej tak, że przezroczystej prawie płynęły łzy. Ogień z komina oświecał jej postać i załamywał się na postaci nieznajomego.

A głos jego płynął ku nam, jak głos anioła, jak głos kogoś niezmiernie drogiego, jak głos Polski całej.

Ogień na kominie przygasł. Bezmyślnie, a prędzej z myślą o domu rodzinnym podszedłem i dołożyłem kilka grubych polan. Buchnęły płomienie, kilka iskier wyleciało wgórę. O, jak teraz właśnie

A mnie przypomniało to jeszcze bardziej dom rodzinny. Ja sobie nie zdawałem sprawy z tego, że jestem tam na śnieżnych, bezkresnych polach.

Gdy wróciłem na miejsce, zwrócił się do wdowy po Józefie: Ty, kochałaś człowieka dzielnego. Polaka z krwi i kości, człowieka, co ukochał twoje ideały, a któremu ty za to oddałabyś duszę własną. Czy żyje jeszcze? zapytał po małej przerwie. Kobieta podniosła głowę, w oczach jej był gniew.

— Kto cię upoważnił, człowieku obcy, mieszać się do tych spraw, jakiem prawem przypominasz to, o czem zdawało mi się, że zapomniałam, jakiem prawem rozrywasz mi serce. Kto jesteś?

— Jestem kapłanem, niosę ci pociechę i grzechów odpuszczenie.

— Mnie pociechę — mnie odpuszczenie grzechów? Bóg mnie już opuścił i zapomniał o mnie.

— Owszem Bóg pamięta, bo krokami memi kierował tu właśnie. Patrz oto On.

Ksiądz rozpiął kubraczek na piersiach, wyjął zawieszony na łańcuszku krucyfiks: oto Bóg—Człowiek, co odkupił świat.

Cisza straszna, cisza i skupienie zapanowały wśród nas.

Kobieta patrzyła na krzyż, szeroko otwartemi oczami, podniosła się z ziemi, postąpiła krok naprzód i — Boże! — krzyknęła, padając na kolana i wybuchając łkaniem. Poklękaliśmy wszyscy, a łzy wielkie, słone, łzy żalu i pokuty, łzy przebłagania za grzechy nasze za wszelkie uchybienia i zapomnienia, łzy prawdziwego nawrócenia kapały nam z oczu.

Ksiądz odmawiał nad nami modlitwy, my klęczeliśmy ciągle, łkając głośno.

— Wstańcie — odezwał się po długiej modlitwie — powiem wam jeszcze wiele rzeczy, bowiem z Polski idę, powiem jak tam teraz jesień cudna, jakie zboża na naszych polach, jakie owoce w naszych sadach, powiem wam jakie niebo nad naszym krajem, jakie słońce tam świeci, powiem każdemu z was o waszych domach i rodzinach, powiem, jak was kochają rodacy i jak pamiętają o was...

Ksiądz był z nami cały dzień następny. Spowiadał każdego z nas i tę naszą współwygnankę najbardziej nieszczęśliwą. Przyjęliśmy Komunię św. a potem poszliśmy chrześcijański pogrzeb sprawić umarłym. W poświęconej spoczywają ziemi, chociaż tak daleko, a na każdej mogile leży garstka ziemi polskiej rzucona dłonią księdza. Garstka ziemi z pod Raszyna. Wy nie wiecie, co znaczy umierać w obcej ziemi, ale ja widziałem, jakie to straszne i czułem całą boleść tych wszystkich, którzy spocząć musieli na obczyźnie.

Wtedy też wysłuchaliśmy Mszy św. Takiej jak można było, bez złotego kielicha, co tak pięknie w słońcu się mieni, bez patyny, tego jasnego krążka, co słońce i chleb Pański przypomina. To był dzień najpiękniejszy w mem życiu, bo był dzień, o którym pamiętać będę zawsze i wspomnienie dnia tego zbawi mnie w godzinę śmierci.

Na drugi dzień odszedł od nas ksiądz pocieszyciel, odszedł i obiecał tylko przyjechać za dwa lata. Dotrzymał słowa, a nawet, nie wiem jakim cudem, bo cudem to nam się zdawało, przywiózł nam parę książek polskich i biblię. Mam ją, bo ja jeden zostałem z tych wszystkich, ja jeden. Tamci leżą tam, ale już wszyscy w poświęconej ziemi, a żona Józefa nawet przy śmierci swojej miała naszego księdza. Przyjechał właśnie oczekiwany całe trzy lata, przyjechał wtedy, gdy już zaczęła tracić przytomność. Odzyskała ją na widok księdza. Wyspowiadała się i umarła cicha. Śmiało powiedzieć mogę, że po odejściu księdza w ów wieczór już nie zgrzeszyła. Czyż trzeba wam dodawać — mówił po chwili dziadek, że tym kapłanem co niósł nam pociechę, tym kapłanem, który nie bał się więzienia, ani mąk żadnych, tym świętym prawie, był biskup Cieplak. Umilkł dziadek, a myśmy siedzieli długo bez poruszenia. Wyrwał nas z zamyślenia płacz Janka. Chłopiec nie chciał powiedzieć czego płacze i nie pomogły ani prośby matki, ani głos dziadka. Płakał, no bo płakał. I dopiero gdy na dobranoc całowałam jego jasne czoło, objął mnie za szyję i wyszeptał cichutko: Panno Lutko, ja płakałem, bo było mi żal, że ja nie widziałem i nie zobaczę nigdy biskupa Cieplaka, ja go tak bardzo kocham, jak mamusię, jak dziadka i jak panią. Uspokoiłam dziecko, jak mogłam, a nazajutrz zanim się przebudził, powiesiłam mu nad łóżeczkiem fotografię arcybiskupa Cieplaka. *Lucyna Szeliżanka.*

POLITYKA

Jeden fotel zachwiany.

Najgorętszy teraz czas pracy w sejmie. Ogólne rozprawy nad budżetem zakończyły się. Większość stronnictw udzieliła rządowi poparcia, chociaż nie bez „ale". I tak chrześcijańska demokracja głosować będzie przeciwko wydatkom na tajne cele. Kilku ministrów ma miljony złotych (razem 20) na wydatki, o których krążą tylko pogłoski. Ponieważ suma wydaje się chrześcijańskiej demokracji zbyt wielka, a sposób wydawania nieodpowiedni, więc te wydatki na tajne cele zwalcza. Socjaliści z czego innego są niezadowoleni. Ich kozłem ofiarnym jest minister sprawiedliwości Meysztowicz. Nie szczędzą mu ostrych docinków, choć jasno nie umieją wskazać, o co im chodzi.

Po rozprawach ogólnych nad polityką rządu sejm zabrał się do każdego ministerstwa osobno. Większość stronnictw zganiła prowadzenie ministerstwa sprawiedliwości. Oczywiście lewicy nie podoba się osoba samego energicznego ministra i bardzo wolne wydawanie ważnych ustaw, prawicy zaś za mała powaga ministerstwa. Stwierdzono, że więzienia są w lepszym porządku, ale równocześnie, że sędziowie są licho płatni i przeciążeni pracą. Prawica ostro ganiła niewykrycie sprawców napaści na posła Zdziechowskiego, więzienie jenerała Rozwadowskiego, „fory" dla pewnego pismaka-oszczercy, osoby jednak samego ministra, jako „męża poważnego" nie zaczepiła. Wskutek nagany posłów minister Meysztowicz podał się podobno do dymisji. Dymisja nie została przyjęta.

Należy zwrócić uwagę, że posłowie w naszym sejmie zarówno jak i zagranicą uwydatniają błędy i nieraz przesadzają w naganie, a to dlatego, że przemawiają jako przeciwnicy polityczni całego rządu. I nieraz z małej chmury robią wielki deszcz — uwag, przytyków, nagan. Tak to przyjęło się w sejmach. I o tem czytelnicy powinni pamiętać.

Co słychać z oświatą?

Rozprawy nad oświatą również się odbyły. Komisja sejmowa zwiększyła wydatki na szkoły o 30 miljonów. Nauczycieli szkół ludowych ma być więcej o 1000, wydatki na budowę szkół wynoszą ledwo dwa miljony złotych. Sprawozdawca tych wydatków wzywał rząd, aby utworzył radę wychowania narodowego. Taka rada opracuje sposób nauczania w szkołach państwowych.

Następni mówcy ze związku ludowo-narodowego i Piasta domagali się więcej dbałości nad ochronkami, więcej religji i głębszego wychowania w szkole, otwierania szkół polskich na kresach, nauki sadownictwa i pszczelnictwa w szkołach, większych wydatków na budowę szkół. Socjaliści stanęli w obronie mniejszości narodowych i napadli na duchowieństwo katolickie, jak to oni zawsze robią.

Uwagi nad dyplomacją.

Rozprawy nad polityką zagraniczną nie były bardzo ciekawe. Najwięcej uwagi zwracała mowa posła ze związku ludowo-narodowego. Poseł przestrzegał przed niebezpieczeństwem niemieckiem i ganił rozrzutność w ministerstwie i ciągłe zmiany naszych posłów zagranicą.

Ładni posłowie.

Oprócz budżetu sejm musiał się zająć dalszem uwięzieniem posłów białoruskich i sprawą posła Wojewódzkiego. Komisja sejmowa uchwaliła wydać już uwięzionych posłów sądowi.

Wojewódzki jest to osobistość jakich nie daj Boże w Polsce więcej. Należał do „Wyzwolenia", później stał się komunistą i dziś należy do niezależnej partji chłopskiej. Okazuje się, że w r. 1923 był szpiegiem „defenzywy" polskiej, jednocześnie zaś podburzał ludność na kresach przeciwko rządowi. Ciężą na nim i gorsze zarzuty. Sąd złożony z paru posłów, ma orzec czy Wojewódzki jest winien czy niewinien. W każdym razie dla „Wyzwolenia" niemiła to nowina, że dawny towarzysz był szpiegiem i podburzaczem. A Wojewódzki twierdzi, że „Wyzwolenie" o jego robocie wywiadowczej wiedziało.

Droga do pożyczki.

Gospodarka nasza poprawia się. Dolar słabnie. Mówią, że spadnie do 8 złotych, ale to — twierdzą niektórzy — byłoby ze szkodą wywozu, bo jeżeli wywozimy to dzięki niskiemu złotemu. Niewiadomo zaś, czy ceny spadną, kiedy dolar pójdzie wgórę, jeżeli zaś ceny się obniżą, to najprędzej tych rzeczy, które sprowadzamy od obcych. Innemi słowy, ze zwyżką dolara może pójść w parze zwyżka przywozu.

Do Ameryki wyjechało z ramienia rządu kilka poważnych osób o pożyczkę.

Droga do pożyczki niełatwa. Mężowie polscy naprzód chcą przekonać profesora Kemmerera, że nie wszystkie jego rady są słuszne. Jeżeli się profesor zgodzi, to bankierzy amerykańscy przychylniej omawiać będą z Polakami sprawę pożyczki. Mówi się o 200 miljonach dolarów na budowę domów, kolei, nakłady w miastach i t. p. Osobno przemysłowcy polscy rokują o 8 miljonów dolarów pożyczki.

Rząd popiera budowę floty. Statki polskie mają iść na morze Śródziemne. I flota wojenna będzie powiększona. Przemysł znów się ożywia, bezrobocie wprawdzie rośnie, ale już wolniej niż w grudniu i styczniu.

Sowiety i Niemcy zbroją się.

W polityce zagranicznej Polska ma nowe trudności ze strony Rosji. Sowiety gadają o wojnie, ale czy to poważnie? Gorzej, iż Niemcom udało się zachować część twierdz. Z 88 umocnień tylko 34 będą zniszczone. Główne urządzenia w Królewcu pozostaną, tymczasowe budynki wojskowe będą naprawione. Natomiast Niemcy muszą się wyrzec wysyłki broni i surowców zagranicę. A Niemcy lubią handlować bronią, oto niedawno Anglicy zatrzymali ich statek, wiozący oręż dla „czerwonej" armji chińskiej.

Rząd potrójnie czarny.

Bodaj to uwierzyć, żeby Niemcy się nie zbroili. Hindenburg ma rząd jaki chce: czarny, czarny, czarny, czyli prawica, centrum i partja „ludowa". Marx, centrowiec, stanął na czele rządu. Wilhelm może się już gotować do powrotu. Hermina, jego połowica, niezadługo przybywa do Berlina urządzić kuchnię i kupić pantofle mężowi.

Chińczycy przeciwko Anglji.

Z dalekiego świata słychać o wielkiej wojnie chińskiej. Jeszcze się nie skończyła. Ale kto wie, czy się nie skupi na Anglikach. Anglja tyle wysłała wojska na obronę portu Szanghaju, że nawet jej przyjaciele chińscy przeciwtemu wznieśli sprzeciw. Inne państwa Anglji nie popierają. A sowjetom w to graj: wojna Anglji z Chinami przyspieszy wielkie powstanie w Indjach i złamanie potęgi angielskiej w całej Azji. Jenerałowie moskiewscy stoją jako doradcy w sztabie „czerwonej" armji chińskiej.

Z ostatniej chwili.

Sejm wydał już uwięzionych posłów białoruskich sądom. Przeciwko wydaniu głosowała lewica, część lewicy wstrzymała się od głosowania.

Ciekawostki ze świata

Troje małych dzieci z Warszawy do Kanady odbyło podróż szczęśliwie. Są to dzieci rolnika Zapłacińskiego, który przybył do Kanady w r. 1924. Nie miał pieniędzy na podróż dla żony i dzieci. Żonę sprowadził w r. 1925, dzieci przez 2 lata zostały pod opieką biura Red Star w Warszawie. I oto teraz troje maleństwa — siedmioletnie, pięcio- i trzyletnie (?) przybyło do Winnipeg — całe i zdrowe. Donosi o tem „Gazeta Katolicka w Kanadzie". Przykład nie nadaje się do naśladowania.

Radość suchych czyli przeciwników alkoholu wybuchła żywiołowo w całej Ameryce Północnej. Susi obchodzili w styczniu siódmą rocznicę ogłoszenia wstrzemięźliwości. W pochodach uczestniczyli gubernatorzy, urzędnicy pod hasłem: Tak — to jest prawo i do tego dobre prawo. Wiadomo jednak, że prawo prawem, a wyrób i przywóz wódki swoją drogą nie ustaje. „Dziennik Chicagoski" donosi, że Andrews, „car" wstrzemięźliwości, czyli ten, który kieruje walką z alkoholem, zamieszany jest w brudną sprawę statku przemycającego wódkę do Ameryki. Chodzi o łapówkę 100 tysięcy dolarów.

Niezwykłe ubezpieczenie. Pewien Anglik w obawie drożyzny złożył 5000 funtów towarzystwu ubezpieczeniowemu, za co towarzystwo opłaca 2 obfite obiady dziennie i opłacać będzie aż do jego śmierci. Anglik-oryginał ma lat 40 i cieszy się doskonałem zdrowiem, stwierdzonem przez lekarzy.

Drut kolczasty jako środek przeciw samobójcom. Japończycy mają manję samobójstwa. Między innemi obrali sobie jako przybytek śmierci wnętrze wulkanu. 60 osób zginęło w ten sposób w roku zeszłym. Obecnie gubernator z Nagasaki kazał odrutować czub wulkanu Aso, by powstrzymać samobójców od rzucania się w ognistą czeluść.

Pożytek z gorącego powietrza. Obecnie lekarze leczą niektóre choroby gorącem powietrzem, kładąc chorego do obszernej skrzyni drewnianej, tak iż głowa jego tylko wystaje nad powierzchnię. Temperaturę się podnosi do 70 stopni w ciągu kwadransa! Używa się do tego 48 lamp elektrycznych o sile 16 świec każda. Gorącem powietrzem leczą reumatyzm, choroby skórne (egzemę), rany, wilka, nerwowe tiki na twarzy, newralgję, otyłość. Leczenie gorącem powietrzem nie działa szkodliwie na serce, nerki i zwapnienie żył.

Koza lepsza dójka od krowy? Stwierdzono to w Paryżu. Najlepsza krowa dawała dziennie 4 kilogramy 700 gramów mleka, a najlepsza koza 6 kilogramów 240 gramów. Ale to w stosunku do tej samej wagi stworzenia, czyli względnie; bezwzględnie krowa daje więcej mleka.

Kiedy są najdłuższe dni i gdzie w Europie? We Francji najdłuższy dzień jest 30 czerwca, gdyż ciągnie się od 3 m. 52 do 7 m. 56, czyli 16 godzin 4 minuty. W Anglji najdłuższy dzień trwa 16 i pół godziny. W Leningradzie trwa 19 godzin. W Tornin, w Finlandji, dzień 21 czerwca ciągnie się 22 godziny. W Waidbury w Nor-

wegji światło dzienne trwa od 21 maja do 22 czerwca. Na Szpicbergu w okolicy podbiegunowej dzień trwa 3 i pół miesiąca.

Mądrość i delikatność chińska. Ostatniemu cesarzowi chińskiemu padł koń. Cesarz z gniewu, że stracił ulubionego wierzchowca, podniósł miecz, aby przebić koniuszego. Mandaryn Jen Tse zdążył cios odbić i zawołał: Najjaśniejszy panie, ten człowiek niewiadomo czy jest winny.

— A więc przekonaj go o winie i konieczności kary śmierci.

— Posłuchaj, łotrze — zawołał mandaryn do koniuszego — jakieś popełnił przestępstwa. Naprzód zamęczyłeś konia, który ci był powierzony. Potem w gniew wprowadziłeś najjaśniejszego pana, tak iż cię o mały włos nie zabił. Wkońcu przez ciebie omal nasz miłościwy pan nie splamił się zabójstwem człowieka za marnego zdechłego konia...

— Dość! dość! — krzyknął cesarz. — Już mu wybaczam. Niech idzie precz.

Marszałek Wu-Pei-Fu, który walczy z czerwoną armią chińską, podejrzywał pewnego wojskowego Amerykanina, że korzystając z gościny, szpiegował ruchy wojsk chińskich. Podejrzenia te zachował tylko w myśli. Wkrótce przekonał się o uczciwości Amerykanina. Zaraz więc pospieszył do niego, ujął go za ręce i zaczął przepraszać. „Wybacz pan, sądziłem, że pan bawi tu jako szpieg, podejrzenie moje okazało się fałszywe, za to fałszywe podejrzenie proszę pana pokornie o przebaczenie".

Tak oto i poganin odczuwa wyrzut sumienia i rozumie, choć może niezupełnie jasno, że grzechem jest posądzać i podejrzewać niesłusznie, że żal i przeproszenie niewinnie posądzonego, choćby on żadnej szkody nie poniósł, jest konieczne.

120 wywiadowców szuka jednego żartownisia. Francuzi lubią żarciki i słyną za najdowcipniejszych ludzi na świecie. W Paryżu grasuje jakiś żartownik, który wyrządza niebywałe szpasy ministrom, policji i profesorom.

Zaczęło się to od telefonicznego zamawiania aktorów i aktorek do ministra oświaty. Aktorzy otrzymali telefonicznie wiadomość, że ich pensje będą podwyższone, ale że minister musi z nimi omówić szczegóły podwyżki. Jakież było zdziwienie ministra i aktorów, gdy po przybyciu na posłuchanie dowiedzieli się, że minister wcale ich nie wzywał.

W nocy telefon zbudził Poincarego. Jakiś głos tubalny go zawiadomił, że właśnie druga po północy wybiła w pałacu luksemburskim.

W kilka dni później Briand otrzymał o godz. 3 m. 13 w nocy podobną ważną nowinę.

Do malarza V. D. zgłosiło się pewnego ranka kilkaset osób, aby obejrzeć jego wspaniały dworek do wynajęcia. Malarz nic o tem wynajęciu nie wiedział, a jednak było ogłoszenie w gazecie. Pięciu policjantów musiało zrobić porządek z gośćmi, którzy chcieli obejrzeć salony malarza. W dwa dni później malarz V. D. otrzymał wspaniały bukiet ślubny dla oblubieńca. Ale on był już dawno żonaty. Cóż robić? musiał zapłacić rachunek za kwiaty, podobnie jak rachunek cukiernikowi za wspaniałe torty na ślub!

Najgorzej udało się pewnemu chirurgowi. Kiedy zbierał się iść na salę operacyjną, karawaniarze wnieśli trumnę ku przerażeniu setek pacjentów.

Naczelnik policji od tygodni szuka żartownisia, a 120 wywiadowców nie może najmniejszego śladu po nim znaleźć.

Samolot — siewnik przeleciał nad wyspą Hawai (stolica tam Honolulu) i obsiał 100 hektarów gruntu poleśnego w 1½ godziny. Dwóch ludzi musiałoby na trudnym gruncie użyć pracy conajmniej paroletniej.

Gdzie są najwyższe drzewa? W Kolumbji brytańskiej, leżącej na zachód od Kanady w Ameryce. Wspaniałe sosny Douglas wznoszą się na 80 metrów wgórę, a średnica ich sięga od 1 i pół do 3 metrów.

Rzadki meteoryt czyli kawałek oderwany od jakiegoś ciała niebieskiego spadł w Brazylji koło Sao Paolo. Meteoryt waży 8 kilogramów, nie jest to dużo, bo spadały „kamienie" z nieba o wiele cięższe. Co jednak ciekawe, że gdy rozłupano kamień, znaleziono w nim diamenty. Niezły podarek! Meteoryt powędrował do muzeum, ale właściciel gruntu, na którym spadł kamień, wytoczył zarządowi muzeum proces o diamenty.

Powstanie diamentów w meteorycie tłumaczą wybuchem gazów w lecącym z zawrotną szybkością (60 kilometrów na sekundę) rozżarzonym kamieniu. Wtedy tkwiące w kamieniu ciała węglowe krystalizują się, a te kryształy węglowe właśnie są diamentami.

Lot najszybszy osiągnął Włoch major de Bernardi na zawodach w Ameryce półn. Na latawcu wodnym leciał z chyżością 393 kilom. na godzinę do 428! Jego współzawodnikami byli 2 rodacy i 3 lotnicy amerykańscy. Dotychczas najszybszym lotnikiem był Amerykanin Doolitle.

Dla rozweselenia

Co szef powiedział?

Koleżanka A. do koleżanki B. Jeżeli szef nie cofnie tego, co mi dzisiaj powiedział, to odchodzę.

Koleżanka B. A cóż ci takiego szef powiedział?

Koleżanka A. Wymówił mi posadę.

Powolna jejmość.

Pewna stara jejmość pociągnęła za hamulec bezpieczeństwa w pociągu. Pociąg stanął. Nadbiega konduktor i pyta jejmości, co się stało.

— Powiedz pan maszyniście, żeby pociąg tak szybko nie szedł, bo mnie to działa na nerwy.

Pożyczka.

— Czy możesz mi pożyczyć 20 złotych na 10 dni.

— Wolałbym pożyczyć ci 10 złotych na 20 dni.

Do abonentów pocztowych!

Tylko od 15 do 25 lutego b. r.

przyjmują listowi zlecenia na abonament pocztowy **na I. kwartał na miesiąc luty wzgl. luty i marzec 1927.**

Prosimy zatem naszych abonentów, zamawiających pismo nasze **wprost w Urzędzie pocztowym,** by zechcieli niezwłocznie **odnowić przedpłatę.**

Kto nie chce się narazić na przerwę w dostarczaniu pisma, niech wypełni załączony w dziale ogłoszeń niniejszego numeru kwit pocztowy i wręczy go listowemu, który po kilku dniach przedłoży kwit pocztowy i ściągnie prenumeratę **0,67 zł na 1 miesiąc lub 1,33 na 2 miesiące.**

Abonenci otrzymujący pismo wprost z Administracji pod opaską, płacą kwartalnie 2,40 zł.

Odpowiedzi Redakcji

S. Z „Czy wierzysz?" to nie jest wiersz. — **Wł. Majew.** „Starzec" nie nadaje się do druku. — **W. Zielenk.** Nowości omawiamy po nadesłaniu egz. recenzyjnego. — **Z. Pac Dąbr. Gór.** Wiersze nie nadają się do druku. — **J. Woś.** Liceum prywatne Słomińskiej, Plac Świętokrzyski i gimnazja państwowe Matejki 4 i ul. Młyńska (Dąbrówki). — **Fr. K.** w Warszawie. Dziękujemy za krzewienie Przew. Z wiersza reklamowego może skorzystamy częściowo. Wiersz na święto M. B. Gromnicznej, przyszedł spóźniony. — **F. K. B.** Powieść na konkurs musi być po literacku napisana.

Poradnik prawny

Ant. Sarb. Wartość pożyczki przy pełnem zwaloryzowaniu wynosi 433. zł bez odsetek. **N. 63.** 2% miesięcznie. Wynagrodzenie należy się takie, jak umówiono. **J. Barank.** Mąż odpowiada tylko własnym majątkiem za swe zobowiązania.

Kalendarz

13 lutego. Niedziela. — **św. Katarzyny R.** — 14 lutego Poniedziałek. — **św. Walentego.** — 15 lutego. Wtorek. — **św. Faustyna.** — 16 lutego. Środa. — **św. Juljanny. P.** — 17 lutego. Czwartek. — **św. Patrycjusza.** — 18 lutego. Piątek. — **św. Symeona.** — 19 lutego. Sobota. — **św. Konrada W.**

Adorację Najśw. Sakramentu mają następujące parafje: Niedziela: Chojna i Śnieciska. Poniedziałek: Chomętowo i Solec. Wtorek: Gołańcz i Wszembórz. Środa: Jaktorowo i Brodnica. Czwartek: Kcynia i Spławie. Piątek: Rynarzewo i Środa. Sobota: Samokleski i Murzynowo kośc.